

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII

Warszawa, 9 grudnia 1951 r.

Nr 49 (315)

GAUDENTY

JUTRZENKA ZBAWIENIA

ADWENT, okres, w którym liturgia katolicka obrazuje tysiące lat oczekiwania ludzkości na Zbawiciela, można porównać do nocy. Nie tylko samo długie oczekiwanie, niezaspokojona tęsknota, nieopisane pragnienie czegoś wyższego, ale głównie podstawa faktyczna tych uczuciowych stanów odznacza się ciemnością, nie tyle umysłową może, ile moralną, wołającą o nazwę nocy. Ludzie znali wprawdzie przykazania, ale ich charakter, głównie negatywny, nie miał dość siły, by stać się wielką podniętą do świętego życia. Przykazanie miłości było pozytywne, ale czysto abstrakcyjne, ogólnikowe, obok trudności w stosowaniu. Ludziom brak było żywego, konkretnego Człowieka, ideału, wzoru, który by każdym żywym słowem pouczał, a żywym przykładem pokazał, jak żyć należy, by osiągnąć ukojenie serca i czystość sumienia. Tego Człowieka, którego by można czcić, jak Boga, kochać, naśladować samodzielnie i zarazem wiernie z zaspokojeniem najgłębszych pragnień serca, czekała ludzkość niezmiernie długo, ale z niezachwianą nadzieją w ciemnościach nocy.

Nie jest to jednak żadną miarą noc pochmurna, ślepa, pozabawiona jakiegokolwiek światła. Przeciwnie, jest ona pełna gwiazd i światła odbijających światło Słońca Sprawiedliwości, które nie prędko jeszcze się ukazuje, ale ukazuje się na pewno, bo o tym świadczy światło planet. Te światła na niebie nocy Adwentu, to patriarchowie, prorocy, święci i bohaterzy Starego Testamentu, którzy wpatrzni z nadzieją i tęsknotą w Zbawiciela, górują nad swym otoczeniem i historią odbiciem Jego świętości i ludzkości, promieniując dobrocią, dzielnością moralną i mądrością praktyczną, o jakich się nie śniło ludom pogańskim o najświetniejszej kulturze. Ich cechą charakterystyczną jest nie powierzchowność świetnych czynów zewnętrznych, ale raczej niepozorność zewnętrzna, przy olbrzymiej głębi życia wewnętrznego, do którego czyny są wprawdzie proporcjonalne. (Judyt, Jozue), ale nie one stanowią treść, która tonie w ciszy serca, pogrążonego w kontemplacji skarbów moralnych.

Liturgia Adwentu pełna jest tych światel. Przyjrzyjmy się szczególnie najświetniejszemu z nich, które często nazywano Ranną Jutrzenką. Gwiazdą Porankową, czyli najjaśniejszą z planet, zwanej w astronomii Wenus, której ukazanie się zapowiada bliski wschód słońca.

To poetyczne określenie, ogniskujące w sobie możliwie najwyraźniej zewnętrzną świętość i całą rolę w dziele Zbawienia Najświętszej Maryi Panny, wraz z całym stosunkiem uczuciowym do Niej katolików, z największą prawdą odnieść można zwłaszcza do Jej Niepokalanego Poczęcia. Jest bardzo charakterystyczne, że uroczystość uczczenia tego zdarzenia wypada na dwa tygodnie przed Narodzeniem Chrystusa, właśnie w Adwencie. A nie jest to przypadek, bo tak nakazało obliczenie — 9 miesięcy przed Narodzeniem Maryi, które, jak wiadomo, czcimy 8 września. Jeśli więc jest to zamysł, to tylko Boży. Nie można było lepiej umieścić Jutrzenki Zbawienia w roku kościelnym.

Niepokalanego Poczęcia było chyba od początku Kościoła czczone prywatnie przez wiernych, ale za dogmat uznane zostało dopiero w ubiegłym wieku.

Treść prawdy Niepokalanego Poczęcia jest niezmiernie bogata filozoficznie i teologicznie, by nie powiedzieć mistycznie. Chodzi tu o wyjątek od reguły grzechu pierwotnego, w którym, według nauki katolickiej, poczynają się i rodzą wszyscy ludzie. Obecność zła na świecie dała się we znaki niezliczonym filozofom. Każda rzecz na świecie jest najwidoczniej pomyślana doskonale, w absolutnym znaczeniu tego słowa, a zarazem jakby chybiała w wykonaniu, bo pełno w niej różnych braków i ułomności. I tu powstaje dziwna, niedorzeczna prawie nie zgodność między doświadczeniem, które nam ukazuje rzeczy niedoskonałe, a logiką, która się z tym nie może pogodzić. Dla każdego jest rzeczą oczywistą, że choć choroby i śmierć są niezaprzeczalne, to jednak są one nielogiczne i niezgodne z doskonałym porządkiem rzeczy. Z tego to powodu Platon stworzył filozofię idealną, według której rzeczy są tylko ciemnymi cieniami Idei czystych, przebywających w innym doskonałym świecie. Najwidoczniejszym przykładem tego naturalnego zepsucia jest sam człowiek, który nie jest w stanie żyć nawet zgodnie ze swą naturą, co teologia określa jako większą skłonność do złego, niż do dobrego. Ta moralna nieporadność człowieka, obok jej uświadomienia, napędza go poczuciem niedorzeczności i bezradności i jest przyczyną prawdziwego nieszczęścia. Wiedząc o tym, trudno się dziwić filozoficznym i religijnym poglądom, jak u starożytnych Persów czy Manichejczyków, że świat powstał z dwóch pierwiastków, dobrego i złego. Ale ani te poglą-

dy, ani idealizm platoński w niczym nie zaradzały beznadziejności położenia każdego człowieka.

Mogło temu zaradzić tylko Niepokalane Poczęcie Zbawiciela i Jego Matki. Człowiek pragnie nie teorii, ale konkretów, które mogą mu praktycznie pomóc i umożliwić usunięcie beznadziejności położenia. Samo zjawienie się Chrystusa byłoby niewystarczające. Jest On Bogiem i człowiek mu nie dorówna. Ale Jego Matka była tylko człowiekiem. Jest ona wyjątkiem spośród wszystkich ludzi w niepokalanośi swego poczęcia, gdy każdy człowiek rodzi się już skalany złem.

Określenie „niepokalanie” oznacza absolutną czystość.

zanie utrzymania stałej absolutnej czystości w czymkolwiek byłoby cudem.

Przenieśmy teraz to porównanie do dziedziny moralnej. Poczęcie, czyli zaczątek jakiegoś dzieła, musi być niepokalane z konieczności logicznej, jeżeli Ojcem jest osoba tak doskonała, jak Bóg. Chodzi nam w tym wypadku o szczególny wypadek człowieka. Otóż Adam i Ewa byli niepokalanie poczęci. Byli doskonałi, jak to tylko możliwe. Ale byli wolni i mogli postępować, jak im się podobało. Otóż dziwnie jest nie tyle czyste poczęcie, a ile zachowanie czystości. Nie mieli oni żadnych złych skłonności. Mieli jednak czystą, abstrakcyjną możliwość złego. Skorzystali, jeśli tak mo-

potomstwu pierwszych rodziców grzesznego poczęcia. Płyne ona stąd, że rodzice mają udział w poczynaniu ludzi, a więc muszą im udzielić coś z siebie, to jasne i naturalne. Bóg daje duszę, a rodzice ją skazają swym wpływem. Zobaczmy jednak, czy niepokalane poczęcie każdego człowieka miałooby dla niego zbawienny wpływ? Mamy tu smutny przykład odwrotności tego mniemania na Adamie i Ewie. Niepokalane poczęcie to niezaspokojony dar. Dopiero jego zachowanie jest zasługą człowieka. A kto może mieć pewność, że by zachował nieskalaność? Każdy inny człowiek utraciłby ten skarb niezawodnie, tak samo, jak Adam i Ewa, bo ma wolną wolę, najcenniejszy i zarazem najbardziej zębny swój przywilej. I tu podkreślmy z naciskiem, że inny jest skutek grzechu człowieka niepokalanego, a inny skalanego. Adam i Ewa za głupstwem w gruncie rzeczy, utracili wszystko prawie, gdy ludzie skalani za wielkie grzechy właściwie nic prawie nie tracą, bo nie wiele mają do stracenia. Skalenie pierwotne, czyli skłonność do grzechu, jest wielkim usprawiedliwieniem każdego upadku, gdy człowiek nie skalany nie ma żadnej wymówki. Cały ciężar spada na niego. W tym leży niezmiernie dobrodziejstwo, jeśli tak można rzec, pokalanego poczęcia każdego człowieka. Z każdego upadku może powstać, może upadać tysiące razy i Bóg mu zawsze przebaczy, bo człowiek ponosi niewielką winę za nie w zasadzie, gdyż nic nie jest winien swym złym skłonnościom. Chrystus gładzi grzech pierwotny, ale skłonności pozostają. Spowiedź, Komunia Święta czynią ludzi niepokalanymi, a przecie jak łatwo tracą oni tę czystość.

Z powyższych rozważań wynikają ważne wnioski, dotyczące Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, jego logiki i społecznego znaczenia. Z dobroci Bóg zostawił wpływ grzechu na całe potomstwo Ewy, by ich nie karać równie surowo, jak Ewy. Niepokalane Poczęcie zachował dla Maryi tylko dlatego, że ona jedna mogła je zachować aż do końca okresu próby, jakim jest ludzkie życie. Pomijam tu inny względ, to jest wymagania godności Matki Bożej, ale on ściśle się łączył z tą logiczną koniecznością. Zobaczmy teraz, jakie skutki społeczne płyną z tego wyjątkowego faktu.

Największym jego skutkiem i zarazem największym dobrodziejstwem jest to, że czystość przestała być wyjątkiem, prak-

(Dokończenie na str. 2)



Najświętsza Marya Panna. Fragment obrazu Beato Angelico

Wiemy, że na świecie nie ma absolutnej czystości. Ktokolwiek pracował w pracowni chemicznej, ten wie, jak trudno osiągnąć czystość naczyni i aparatów do analiz. Jest to jednak możliwe i w dodatku konieczne, bo wszelki brud mąci analizy i fałszuje ich wyniki. Można umyć naczynia do absolutnej czystości, ale nie można ich w niej zachować przez dłuższy czas. Istnieje wprawdzie możliwość moralna, ale nie ma możliwości fizycznej. Brud czyha na każdym kroku, unosi się w powietrzu, wkracza wszędzie. Doka-

zna rzecz, z tej możliwości i od razu stali się skłonniejsi do złego, niż dobrego. Odtąd raczej dobre postępowanie było tylko możliwością, a praktyką złe, stąd rozdwojenie moralności ludzkiej.

Niewątpliwie, Bóg mógł ograniczyć ten skutek tylko do Adama i Ewy i sprawić niepokalanie poczęcie ludzi. I tu zastanówmy się, czy można mieć do Boga żal o to, że się wszyscy rodzimy skalani. Na pozór tak, ale będzie to sąd powierzchowny. Pomińmy już logiczną konieczność udzielenia



CU 9013

5M1591052

AMERICA CONQUERS BRITAIN

Zdarza się czasem, że czyta się jakąś książkę z uśmiechem niedowierzania i odkłada ją w końcu na bok, uważając za stratę czasu dalsze wgłębianie się w wywody czy prognozy autora. Podobny los spotkał zapewne wydane w roku 1930 studium Ludwella Denny: „America conquers Britain”, przetłumaczone natchemianst na język niemiecki p. t. „Amerika schlägt England”. Były to czasy ustawicznych zjazdów i przyjaznych wynurzeń Mac Donalda z Hooverem i jego rządem i zapewnianie o najpełniejszej zgodności zapatrywań na najważniejsze zagadnienia polityki światowej. Mimo to autor starał się udowodnić, że wojna między Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią jest prawdopodobna, będąc naturalnym nie-

jako następstwem niezaprzeczalnych i coraz silniejszych antagonizmów gospodarczych.

Mówi się wiele o współpracy krwi i pokrewieństwie obu narodów, lecz zapomina się o tym, że w Stanach zaledwie jedna trzecia ludności jest pochodzenia brytyjskiego, co nie przeszkadza jej ulegać antyangielskim wpływom Irlandczyków i Niemców. Nie przystąpienie Stanów Zjednoczonych do Ligi Narodów było, jak twierdzi autor, wykorzystaniem przez stronnictwo republikańskie, ogólnej niechęci całego społeczeństwa do Anglii, która miała w owej instytucji odgrywać główną rolę. Podczas wojny światowej nie było również sympatii i zaufania między armiami obu tych państw. Weterani nie odwiedzali się wzajemnie. Turysta amerykański śpieszy zawsze do Paryża i zazwyczaj omija Anglię, gdzie się nie czuje ani „krewnym”, ani przyjacielem. Rażą go przestarzałe formy życia towarzyskiego, nudza rozrywki, teatr i ceremonialne kluby.

Jutrzenka Zbawienia

(Dokończenie ze str. 1)

tycznie niespotykanym. Czystość niezliczonej ilości Dziewic, Wyznawców, Męczenników i nie zliczonej ilości świętych, jacy zapelnia niebo, pochodzą z tego niewyczerpanego źródła, jakie wypłynęło z Niepokalanego Poczęcia Maryi. Z Niepokalanym Poczęciem Najświętszej Maryi Panny poczynił się niepokalanu Kościół Chrystusowy, którego Ona jest Matką. Dzięki Jej poczęciu, każdy skałany, grzeszny, słaby moralnie człowiek może się dźwignąć wyżej od Aniołów i osiągnąć czystość anielską, wtórna, co prawda, ale zasłużoną osobiste. Takie niesłychanie dobroczynne skutki zamierzył Bóg wyciągnął z faktu skalania i grzechu ludzkiego i przewyższa to nieskończenie wszystko, co by mogło powstać z niepokalanych, ale i niezasłużonych poczęć ludzkich, które by mogły być zmarnowane.

Dziś, dzięki Niepokalanemu Poczęciu Maryi, cnota czystości jest w zasięgu każdego z nas. Wystarczy wyciągnąć rękę do Niepokalanej. Może nie wielu tę rękę wyciąga, to prawda, ale kto wyciągnie, ten już jest oczyszczony. Sama myśl o Maryi i nieodłączna od niej myśl o Jej Boskim Synu oczyszcza. Kto się tej myśli trzyma przez całe życie, ten zachowa czystość moralną przez całe życie. Z każdego dna nędzy i grzechu, z największych nieczystości można się wydobyć prostym aktem woli, jednym szczerym westchnieniem. A ludzi tak czystych znamy nie tylko z historii, nie tylko z żywotów świętych, ale ich spotykamy w swoim życiu i to częściej, niż nam się wydaje, choć może ich nie rozróżniamy, nie mając dobrego sadu, wzroku i wężu moralnego, bo pozorów tych ludzi są przeważnie skromne. Skarb ich jest głęboko ukryty, w najtajniejszych zakamarkach serca, tak jak u Najświętszej Panny, która to wszystko „zachowywała w sercu swoim”. Cała ich uchwala jest w ich wnętrzu, bo go i czerpia z wnętrza Niepokalanego Serca Maryi, które jest skarbem Kościoła i przez które spływają wszystkie możliwe łaski, jakich Bóg udziela ludziom. Niepokalane Poczęcie było Jutrzenka Zbawienia nie tylko w historii, przed dwoma tysiącami lat, ale jest nią i dziś dla każdego człowieka o dobrych, szczerych intencjach, bo zaraz za nim wschodzi Sol Justitiae, Christus Deus Noster

Filoangielski poseł Page pisze z Londynu do swoich amerykańskich przyjaciół: o „obłudzie angielskiej okradającej cały świat”, a w sprawozdaniach zaś oficjalnych zapewnia, że „przyszłość jest nasza, bo Anglicy spożywają już swój kapitał”. Pułkownik House donosił w roku 1919 swemu rządowi: „Stosunek Anglii do Stanów Zjednoczonych przybiera ten sam charakter, co przed wojną do Niemiec”.

Edwin L. James, korespondent New York Times przyznawał, że „wśród wszystkich narodów Amerykanie są w Anglii najbardziej nieulubiani, a Stany Zjednoczone należą do najmniej popularnych państw. Cywilizowany świat rozpadł się obecnie na dwie połowy. Stany Zjednoczone po jednej, a wszystkie inne po drugiej stronie”.

„Przez swój przemysł i organizację zajęli Niemcy pierwsze miejsce na świecie, lecz ztratili je przez zarozumiałość i zupełną niezdolność w dziedzinie polityki międzynarodowej. Czy Anglii lub Stany Zjednoczone nie popełnią błędów Niemiec” — pisze pułk. House do prezydenta Wilsona.

Anglia wyrosła dzięki zręcznej, przebiegłej polityce w wieku XIX na wielkie mocarstwo, dominujące nad Stanami Zjednoczonymi. Lecz stan ów nie dał się dłużej utrzymać wobec niebywałego rozrostu przemysłu, handlu i eksploatacji bogactw naturalnych Ameryki Północnej. „Wielka Brytania — pisze L. Denny — jest przecież mała, przeludniona, nieobfitująca w minerały wyspa. Przez dziesiątki lat była warsztatem przemysłowym Europy. Państwa europejskie stwarzały własny przemysł, produkując coraz więcej wyrobów gotowych dla swych potrzeb. Wielka Brytania dostarczała im maszyn i kapitałów. Obecnie Europa nie potrzebuje już Anglii. Opierała ona swój dobrobyt na swych koloniach, zależność jej od rynków kolonialnych wzrasta jednak ustawicznie. Na rynku te wdziera się współzawodnictwo innych państw”.

Autor przytacza szereg cyfr na dowód oczywistej niższości gospodarczej Anglii w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi. Nie ma przede wszystkim większych bogactw naturalnych, poza węglem, którego wydobywanie staje się coraz droższe, wskutek wyczerpywania się pływających pokładów. W czasie, kiedy autor pisał swą pracę, Stany wydobywały rocznie 74,5 miliona ton rudy, a Wielka Brytania tylko 11,4 miliona. Rozporządzając ilością rudy o 90% większą od Niemiec, Anglia wytwarzała o 90% mniej od Niemiec surowki żelaznej, a sześć razy mniej od Stanów Zjednoczonych. Konieczność sprowadzania 80% pszenicy i mąki, 60% mięsa i innych środków spożywczych, poza tym 35% żelaza,

60% drzewa oraz wełny, bawełny, miedzi, niklu i stali, obciążała (i nadal obciąża) niezwykle bilans handlowy Wielkiej Brytanii i utrudniała jego równowagę. Stany Zjednoczone zdobyły też w pierwszych latach XX wieku przewagę, którą Wojna Światowa jeszcze wzmożyła i utrwaliła. Budziło to w Anglii niechęć i nieufność, przejawiającą się w rozlicznych posunięciach politycznych i gospodarczych, starających się przeciwdziałać współzawodnictwu Stanów w dziedzinach należących dotąd bezspornie do stanu posiadania Wielkiej Brytanii. Niechęć ową a nawet wrogość podkreślają cytaty p. Denny. Angielski filozof C. E. M. Joad pisał: „Wstręt Anglików w stosunku do Amerykanów da się łatwo wytłumaczyć tym, że obawiają się oni ciemnej przeszłości i upodobnienia się do Ameryki, kraju wulgarniej plutokracji bez kultury, bez poczucia piękna, wystawionego na wszystkie wiatry, którego ludność skazana jest na pasożytniczą egzystencję”.

Bezwzględne postępowanie Stanów w sprawie długów międzysojusznicznych wywoływało oburzenie na „amerykańskiego Shylocka” który w dodatku zaczął łaskawym spoglądaniem na wspólne niedawno drogą. „Stany Zjednoczone — pisze autor — opierały się chętnie o Niemcy i uzgadniały z nimi łatwiej wspólne interesów, aniżeli czyniły to z Anglią”.

L. Samuel, poseł i dyrektor jednego z największych koncernów naftowych w Dutch Shell, powiedział publicznie w Londynie „nie możemy Stanom Zjednoczonym wierzyć, one usiłują opanować Anglię”.

Nie było zresztą nigdy szczerości między Stanami a Anglią. Pomijając już czasy wojny domowej i ostry konflikt, tuż przed samym wybuchem pierwszej wojny światowej, „wolność mózgu, autor przypomina jak to podczas najprzyjaźniejszych pozornie pertraktacji Mac Donalda z Hooverem, rząd Stanów ogłosił

uchwalone przez Kongres znaczne podwyższenie stawek celnych, skierowane głównie przeciwko eksporterowi angielskiemu. Londyn zaś odpiął się wnet potem misją jednego z najsprytniejszych i przebiegłych dyplomatów, lorda d'Abernona, do Argentyny. Przeprowadził on tam wielomilionową transakcję i to właśnie w dziedzinie zastrzeżonej dla Stanów. Kiedy zaś Mac Donald udał się do Waszyngtonu, gdzie wygłosił kilka pięknych i czułych przemówień jego, minister handlu, I. H. Thomas chwalił się na posiedzeniu komisji Izby Gmin, że wywóz stali z Kanady zmniejszył się znacznie, wypierany przez wzmożony eksport Wielkiej Brytanii.

Tak układały się stosunki Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w roku 1930 Ludwell Denny przypuszczał nawet wówczas możliwość jawnego konfliktu. Nie doszło do tej ostateczności, ale czy zmienił się właściwy charakter wzajemnego nastawienia obu anglosaskich mocarstw? Czy Stany nie prowadzą dalej, z coraz większym powodzeniem, akcji rugowania Wielkiej Brytanii z najważniejszych jej pozycji międzynarodowych i zajmowania coraz to nowych placówek strategicznych, czy gospodarczych, które uchodziły dotąd bezspornie za własność lub sferę wpływów brytyjskich?

Potwierdzają to pamiętniki syna Roosevelta, podkreślające przy każdej sposobności sprzeczność zapatrywań i interesów amerykańsko-angielskich, a także dwuznaczne role odgrywane przez wysłanników rządu waszyngtońskiego w Teheranie w tak niedawnym konflikcie Wielkiej Brytanii z Persją o naftę. Zda się więc, że p. Ludwell Denny nie pomylił się pisząc, że „Ameryka zwycięża Anglię”. Ona, zdaje się, że bez wojny wydarła jej już prymat nie tylko gospodarczy ale i polityczny i uczyniła ją od siebie zależną.

Al. Je.

NOTATNIK POLITYCZNY

Cena krwi

N ZAD amerykański został opowiadany, mocą specjalnej ustawy podpisanej przez Trumana dnia 10 października br. do wyasygnowania 100 milionów dolarów na akcje dywersyjną i wywrotową w krajach budujących socjalizm. Związek Radziecki, Polska i wszystkie inne kraje, przeciw bezpieczeństwu których te zarządzenia zostały skierowane — dały już wyraz w notach dyplomatycznych swym najostrzejszym protestom przeciw łamaniu w ten sposób najważniejszych obowiązków przepisów międzynarodowego pokojuowego współżycia. Tekst tych not protestacyjnych podała polska prasa codzienna, nie ma co ich powtarzać w tym miejscu. Warto tylko zaznaczyć, że nota Rządu Polskiego przypomina przy tej okazji wszystkie, jakże liczne niestety, fakty dywersyjnej działalności, prowadzonej dotąd w naszym kraju za amerykańskie pieniądze, a także pod amerykańskim kierunkiem.

Nowa ustawa Trumana, o niewinnej nazwie: „Ustawy z r. 1951 o Wzajemnym Bezpieczeństwie” nie wprowadza więc w istocie nic nowego (a dotychczasowych metod polityki amerykańskiej, I bez „Ustawy z r. 1951” znajdował ambasador Bliss Lane jak i jego współpracownicy, wśród których niestety również i Amerykanie polskiego pochodzenia, zarówno środki finansowe, jak i ugrupowanie dla dywersyjnej i szpiegowskiej działalności. Nie jest to jednak niemożliwe, by którykolwiek z dyplomatów odwołany z Polski z powodu ułatwienia jego związków z aktywnością terrorystyczną w Polsce — był w Stanach Zjednoczonych poeignięty do odpowiedzialności, za przekroczenie obowiązującego amerykańskiego ustawodawstwa.

Znaczenie nowej ustawy polega natomiast na tym, że dzięki uzyskaniu oficjalnych uprawnień na odcinku montowania dywersji, uzyskaniu tak wielkich sum do niczym nie krępowanej dyspozycji — Amerykanie będą dążyć do zintensyfikowania swej aktywności dywersyjnej. Celem zaś psychologicznym tego prowokacyjnego aktu jest zmobilizowanie wokół agend amerykańskiego wywiadu wszystkich politycznych bankrutów, emigracyjnych rozbitków, bezrobotnych dwójkarzy i awanturników, dla których przynęta jest okrągła suma milionów dolarów i przywileje obiecywane przez władze amerykańskie.

I to jest bodaj że najtragiczniejszy aspekt tego dokumentu, który zapowiada po prostu kredyty na kupno dusz i sumień ludzkich, by je prowadzić do zdrady, do oczywistego służenia obcej i złej sprawie. W oparciu o garstkę rozsiadanych po świecie grup i grupki emigracyjnych polskich, czeskich, węgierskich, rumuńskich czy jakiegokolwiek innych — wywiad amerykański zapowiada dziś jawnie próbę tworzenia w naszym kraju i w wielu innych akcji szpiegowskiej, dywersyjnej, sabotażowej, ślepo podporządkowanej interesom amerykańskich władców.

A interesy te są najprostsze. Sprawdzają się one do dwóch konkretnych wytycznych. Uczynić wszystko co możliwe, by nie dopuścić do rozwoju ekonomicznego krajów demokracji ludowej, zaś dążyć konsekwentnie, by uzyskać z nowotem utraconą kontrolę międzynarodowego kapitału nad przemysłem polskim jak i każdym innym. „Anzeonda” pana Harrimana ma objąć z powrotem swą władzę w Polsce, a wraz z nią inne

WSPOLNY FRONT PRZECIW REMILITARYZACJI NIEMIEC

Liczne znane osobistości francuskie między innymi Jean Babouliene (Temoignage Chretien), pastor Francis Bose, Ojciec Obenu, Jean Marie Domenach (Esprit) Yves Farge, wielki rabin Simon Fuchs, Justin Godart, Jean Lacroix, Leon Lyvon Caen, Gaston Monmousseau, Gustave Monod, pastor Roland de Pury, dr Sicard de Plauzoules, Maurice Vaussard, Vecore, Edmond Vermeil w specjalnym manifestacie zajęli stanowisko przeciw remilitaryzacji Niemiec.

„Deklarujemy z całą stanowczością — mówią sygnatariusze w swym manifestacie, że sprzeciwiamy się remilitaryzacji Niemiec. Sprzeciwiamy się jej ponieważ stanowi ona pogwałcenie obietnic uroczyste złożonych narodom, które się zjednoczyły do walki z faszyzmem i militarystycznym Niemcem.”

„Sprzeciwiamy się jej, ponieważ armia niemiecka w obecnej sytuacji znalazłaby się w rękach stowarzyszeń dawnych oficerów i dawnych SSmanów, którzyby uczynili z niej znowu narzędzie gwałtu i agresji.”

„Sprzeciwiamy się jej ponieważ armia taka miałaby za ideal podbój ziem wschodnich, byleby III Rzeszy.”

„Na koniec sprzeciwiamy się jej ponieważ odrodzenie sił zbrojnych w Niemczech obróciło by w niwecz niekłe zaczątki prawdziwej wolnej demokracji i opinii publicznej, którą uważamy za niezbędną.”

Do manifestu tego przyłączyli się obecnie: Lucien Dausin, radca honorowy, przewodniczący honorowy Federacji radykalnych socjalistów rejonu Sekwany, Louis Bonnet radca generalny i były deputowany MRP z okręgu Izery, Eugenie Cofton, dyrektorka honorowa Wyższej Szkoły w Sevres, Paul Fraisse z Esprit, Rene Georges-Etienne adwokat, profesor nadzwyczajny Gilbert-Dreyfus, lekarz szpitala la Pitie Jacques Hadamard, członek Instytutu, Emile Labeyrie przez honorowy Banku Francuskiego, Henri Lonzeot sekretarz generalny Ruchu Wolności Narodu, Louis Martin Chauffier, pisarz, Ojciec Montclair, Paul Rivet, były deputowany, Joseph Rovin z Esprit, Fernand Vigne sekretarz generalny Ruchu Pokoju, Louis Heron z Villefosse, były zastępca szefa sztabu PNAFL, Leon Wagner profesor Sorbony Jean Wahl profesor Sorbony, pastor Westphal.

Ponadto sygnatariusze postanowili zorganizować w Strasburgu 1-go i 2-go grudnia rb. spotkanie między przedstawicielami Francji i Niemiec dla znalezienia rozwiązań pokojowych w sprawie demilitaryzacji.

Aleksander ROGALSKI

KATHOLIKENTAG 1949-1950

2. Tezy rewizjonistyczne

SZEROKIE pole dla podjęcia ataków rewizjonistycznych na Zjeździe katolickim w Bochum dała sekcja wysiedleńcza, której przewodniczył znany działacz antypolski na Śląsku z okresu po pierwszej wojnie światowej, obecny minister dla spraw uchodźców w Trizonii, dr Hans Lukasczek.

Cały wywód w zasadniczym referacie Clemensa Frieherra von Oerzlegden u pt. „Katołicyzm niemiecki a wygnani z ojczyzny” zaczynał się od przypomnienia znanego ustępu listu Piusa XII, po czym brzmiał, jak następuje:

„My wszyscy znamy pismo Papieża Piusa XII do biskupów niemieckich z dnia 1 marca 1948 r. Wiemy też, jak należy odpowiedzieć na retoryczne pytania Ojca św.: Nie było wolno w odwecie wypędzać 12 milionów ludzi z domu i z zagrody! Ofiary w całości przeważającej większości nie brały udziału w nieuczynnych czynach reżimu hitlerowskiego i nie wpłynęły na nie! Owa akcja (wysiedlenie) była politycznie nierozumna, a gospodarczo nie do obronienia nie tylko z uwagi na potrzeby życiowe narodu niemieckiego, lecz w ogóle ze względu na zabezpieczenie dobrobytu całej Europy!

Jeśli myśli te umieszczam na czele swych wywodów i obrad naszej sekcji, czynię to świadomie, by z góry wyjaśnić, że w selkie nasze starania o rozwiązanie problemu wygnanych z ojczyzny, podjęte przez nas z czysto katolickiego ducha, nigdy nie mogą być usprawiedliwieniem lub uznaniem tego, co najwyższy autorytet moralny na świecie w tak jednoznaczny sposób potępił.

My, Niemcy zachodni, mamy wprawdzie uczciwą wolę świadczyć taką pomoc naszym wypędzonym z ojczyzny rodakom, jak tego wymaga od nas niemiecki i katolicki obowiązek, a nadto potrzeba serca. Jesteśmy jednak świadomi tego, że nawet najlepsze rozwiązanie tego problemu, do jakiego moglibyśmy kiedykolwiek się przyczynić, może być tylko żalosną protezą w porównaniu ze zdrowym członkiem ciała — utraconą ojczyzną. Dlatego kierujemy do lekarzy, którzy potrafiliby kalekom przywrócić zdrowie członki, znowu zgodnie z naszym Ojcem Świętym, ostrzegawcze pytanie i żądanie. Czyż jest to dowodem braku poczucia rzeczywistości z naszej strony, jeśli pragniemy i spodziewamy się, że wszyscy zainteresowani przyjdą do spokojnej rozważli i naprawią to, co się stało, w tej mierze, w jakiej da się jeszcze naprawić?”

W żadnym bodaj oświadczeniu, jakie wyszło z ust katolików niemieckich, nie dano tak dobitnego, stanowczego i w tak niesmaczny sposób powołującego się na opinię Piusa XII wyrazu przekonaniu o absolutnej nierozwiązalności problemu uchodźców niemieckich w sposób inny niż na drodze zaboru Ziemi Zachodnich. W praktycznym rezonansie musiało to znowu doprowadzić do potęgowania stanu prowizoryczności i nastrojów oczekiwania na decyzje, które zmienić by musiały całkowicie sytuację polityczną Europy, tzn. po prostu do oczekiwania nowej wojny światowej. Jest to moment ilustrujący dobrze „pokojowy” charakter wielu przedsięwzięć katolików niemieckich w zakresie niesienia pomocy uchodź-

com niemieckim w Niemczech zachodnich.

REWIZJONISTYCZNE ostrze po siadał też referat dra Rudolfa Jokiel'a. Niewinnym tytułem: „Młodzieżowe siły w odbudowie społecznej” maskował on uderzenie w Postanowienia Poczdamskie i wzniecał wizję powrotu do utraconej ojczyzny. Dr Jokiel mówił, iż nie było jeszcze tak potwornej zbrodni w dziejach ludzkości, jak ta, której ofiarą padł „ponad 12 milionów liczący naród”. Naród ten „został wypędzony z siedzib ojczystych, w których żył od całych wieków, zhanbiony i obrabowany z własności, pozbawiony zdrowia i podstaw bytu, a nadto oderwany od związków z tradycją narodową i obyczajową po to, by się jak najprędzej w nowym otoczeniu zasymilował i duszę swą utracił. (Swoją drogą jest to dość niezwykle stwierdzenie, iż Niemcy „ze wschodu” znalazłszy się spowrotem na łonie milionowej masy narodowej w kraju macierzystym narażeni są na zupełne zatracenie swej substancji narodowej! — uw. moja). Mając tę świadomość — ciągnął dalej dr Jokiel — wygnanicy z ojczyzny muszą w jak największym stopniu starać się zachowywać i rozwijać swoją kulturę regionalną i swoje obyczaje: Wiedzą oni, że zwrot ich ojczyzny jest nie tylko ich prywatnym osobistym życzeniem, lecz również kwestią bytu całego narodu niemieckiego”.

Prelegent odrzucając z miejsca możliwość emigracji zajmował się w dalszym ciągu perspektywą powrotu, przy czym nadmienił, że istnieje konieczność zachowania „żywej, silnej i ściśle z sobą związanej narodowości (Volkstum), która będzie w stanie stawić czoło wszystkim wielkim ofiarom i surowym wymogom, związanym z wielkimi ruchami osiedleńczymi oraz „z odbudową terenów wschodnich”. Zaś do uchodźców ze Wschodu zwraca się z typowo rasistowskim apelem: „Któż by tym zadaniom mógł sprostać, jak nie ci, którym wiał w sam nos ostry wschodni wiatr już od stuleci i którzy fizycznie oraz psychicznie przyzwyczajeni są do tego surowego klimatu!”. Następnie stwierdził: „Wschodnie obszary mogą zostać raz na zawsze dla nas przekreślone wówczas, jeśli nie będzie w ogóle ludzi, którzy by je uważali za swą ojczyznę i którzy gotowi by byli powrócić do nich i je odbudować”.

ZPUNKTU widzenia prawa międzynarodowego zagadnienie granicy Odry — Nysa oświetlał na Zjeździe w Bochum dr Puschel. Referat jego zawierał taki ustęp:

„Tekst Układu Poczdamskiego mówi o przesiedleniu pozostałej w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji ludności niemieckiej. Według niemieckich poglądów, odpowiadających poglądom Zachodnich Sprzymierzeńców, niemieckie prowincje na wschód od Odry — Nysy należą do obszaru państwa

polskiego. Polska jest tylko państwem okupacyjnym i powiernikiem tych obszarów aż do ostatecznego uregulowania sprawy przez konferencję pokojową. Wysłędzenie wielu milionów ludzi z terenów tych pozbawione jest przez to podstawy prawnej”.

Nie trzeba tu specjalnie podkreślać, jak fałszywa jest ta interpretacja Układu Poczdamskiego, skoro pomija ona zupełnie milczeniem taki choćby punkt Układu:

„Trzy rządy, rozważwszy sprawę pod każdym względem uznają, że należy przedsięwziąć przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej lub jej elementów w pozostałych w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech”.

Oto, jak wygląda w świetle prawdy rzekoma „bezpodstawność prawa” wysiedleń Niemców z pozaniemieckich terenów!

ZJAZD Katolicki w Bochum uchwalili rezolucję, dotyczącą sprawy wysiedlonych. Konkretnie jej punkty poprzedzone są następującym wstępem:

„Naczoło wstrząsającej niedoli czasów powojennych narodu niemieckiego wysunęła się duchowa i fizyczna niedola 12 milionów ludzi wypędzonych z siedzib ojczystych, którzy wskutek złamania wszelkiego boskiego i przyrodzonego prawa wypędzeni zostali ze swych siedzib i umieszczeni w pozostałych, przez wojnę dotkniętych Niemczech. Dziękiujemy naszemu Ojcu Świętemu za to, że z wysokiej strażnicy rzucił w świat wezwanie. „by to, co się stało, naprawiono, o ile da się jeszcze naprawić”. Dziękiujemy naszym biskupom niemieckim za to, iż w sierpniu 1949 r. przy grobie św. Bonifacego w Fuldzie w swej prośbie skierowanej do zagranicy stwierdzili, że tylko wspólna pomoc ze strony całego świata może rozwiązać ten wielostronny problem, wskrzeszenia wszystkich religijnych, kulturalnych i geograficznych związków, zapuszczenia korzeni w nowe otoczenie, zdobycia mieszkań, ubrań, żywności, a przede wszystkim zatrudnienia, jak i odzyskania na powrót dawnej ojczyzny.

Z serca 12 milionów wygnanców z ojczyzny, których z wyroku trzech mocarstw — sygnatariuszy Poczdamskiego pozbawiono siedzib ojczystych, zagród i miejsc pracy, kierujemy do wszystkich narodów ziemi prośbę o energiczną pomoc mimo zła, wyrządzonego przez Niemców nadto w imieniu narodu niemieckiego w całym świecie...”

REZOLUCJA powołała się na Odezwę biskupów niemieckich. Otóż, istotnie, zwrócili się oni w Fuldzie z „ostateczną i nagłą przestrogą do sumienia świata”, by „naprawione zostało zło, wyrządzone

Niemcom ze Wschodu”. Stwierdzili też oni po raz niewiadomo już który, że „wypędzenie milionów ludzi z ich siedzib ojczystych było gorzkim bezprawiem”.

W Zjeździe katolickim w Bochum brali udział następujący przedstawiciele episkopatu niemieckiego: ks. kardynał Frings, ks. arcybiskup Jaeger, ks. biskup Baumann, ks. biskup Kaller oraz wizytator apostolski, Niemiec z pochodzenia, ks. biskup Muench. Zaden z nich nie zgłosił sprzeciwu przeciwko rewizjonistycznym uchwałom Zjazdu ani nie wyraził najmniejszego zastrzeżenia wobec nich. Dlaczego? Bo odpowiadały one ich poglądom i życzeniom podobnie jak ich poglądom i życzeniom odpowiada re-militaryzacja Niemiec zachodnich. Główna zaś przyczyna, dla której są oni przeciwni panującemu obecnie pokojowi, mieści się w świadomości, iż zachowanie i umocnienie pokoju oznacza dalszą stabilizację rzeczywistości, wypływającej z zawartych przez mocarstwa po ostatniej wojnie uchwał międzynarodowych, zwłaszcza z Uchwał Poczdamskich, które przecież przekreślają możliwość powrotu do Niemiec obszarów, należących do nich dawniej a raczej dawniej przez nie zagarniętych. Pamiętamy jeszcze wszyscy wystąpienie ks. kardynała Fringsa na Zjeździe katolickim w Bonn w r. 1950, kiedy to posługując się hasłami o obronie kultury, cywilizacji i ładu Bożego wypowiedział się on otwarcie za wojną i potępił „złoty sentymentalizm i fałszywy humanitaryzm”, nie istotny w wypadku, gdy „istnieje prawdopodobieństwo zwycięstwa”.

Gdy staram się podsumować swoje wrażenia wyniesione z lektury dwóch tomów, przedstawiających treść i przebieg Zjazdu Katolickiego w Bochum i w Passau, nasuwa się mej pamięci bardzo trzeźwy osąd wypowiedziany przez katolickie czasopismo niemieckie „Neues Abendland” (wydawane zresztą przez koła klerykalne) w r. 1948:

WIELKIE Zjazdy Katolików były zapewne wielkimi manifestacjami, ale nie dorosły one do sytuacji: kazaliśmy naszym ser-

com bić żywiej, czuliśmy się dumni, lecz stwarzało to właśnie niebezpieczne zadymienie. Brakło roztrząsania sumienia, a jeśli istniało ono, było nie dość głębokie. Zbyttno się liczone z opinią publiczną, co sprawiało, że wierni wyrabiali sobie fałszywe wyobrażenia; wydrukowano sprawozdanie, grubą książkę, którą niewielu tylko czytało. Nie mamy zamiaru odmawiać Zjazdowi Katolików wielkich osiągnięć ani zaprzeczać temu, co Zjazdy Katolików zdziałały dobrego. Lecz to nie było wystarczające, ponieważ brakło głęboko sięgającej analizy czasu i badania sumienia”.

Powyżej przytoczona ocena niemieckich Zjazdów katolickich odnosi się do okresu międzywojennego, lecz zachowuje swą aktualność i dzisiaj. Trzeba do niej dodać tylko jedno: niemal wszystkie Katholikentagi powojenne stały się wielką trybuną rewizjonizmu niemieckiego. Jest przy tym znamienne, że nawet poświęcony wyłączenie problemom życia wewnątrznego Katholikentag, który odbył się w r. 1950, nie był wolny od akcentów rewizjonistycznych. Oto ostatniego dnia Zjazdu wieczorem po odprawieniu nabożeństwa ku czci Najświętszego Sakramentu odczytana została w obecności czterdziestu tysięcy wiernych litania błagalna, ułożona przez ks. kardynała Preysinga na diecezjalny zjazd katolicki w Berlinie. Jeden jej werset brzmiał, jak następuje:

„Racz, Panie, strzec na obczyźnie wypędzonych z ojczyzny i w końcu doprowadzić ich do domu ojczystego... (Das Du die aus ihrer Heimat Vertriebenen in der Fremde behueten und endlich nach Hause geleiten wollest...)”.

Można sobie wyobrazić jak eksplozywnie musiała wpłynąć na rozmodlone tłumy osobliwa mieszanka ekstatycznych uniesień religijnych i brutalnego postulatu politycznego!

I dlatego mimo całego zewnętrznego przepychu nie mogą nam, katolikom polskim, zaimponować Katholikentagi. Co więcej: budzą w nas one niepokojące pytanie. Czyż w nader licznych momentach swego kultu religijnego katolicy zachodnio-niemieccy nie stanęli na niebezpiecznie wąskiej granicy między nabożeństwem a bluźnierstwem?

Aleksander Rogalski

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

Ks. Prof. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

ŻYCIE JEZUSA CHRYSYSTUSA

w opisie Ewangelistów

„Poza próbami naukowych czy literackich opracowań można również (a historia egzegezy dostarcza pod tym względem wiele wymownych przykładów) z czterech Ewangelii utworzyć jedną tak, aby na chwilę nie wyjść poza słowa tekstu świętego. Jeżeli bowiem Ewangelie dotyczą jednej postaci — Jezusa Chrystusa, zdarzeń z Jego życia i nauk, to skoro je zwiążemy pragmatycznie w jeden opis na zasadzie przyjętej w pisaniu zyciorysów w ogóle — powstaje jedyny w swoim rodzaju zyciorys Chrystusa napisany zgodnym wysiłkiem czterech Ewangelistów. W tak pojętym zyciorysie każdy Ewangelista odnajduje siebie: nie tylko bowiem w opisach identycznych nic, co ma istotne znaczenie, nie zostaje zagubione, ale uszanowane są wszystkie fragmenty niezależne, stanowiące własność poszczególnych Ewangelistów”.

(Z Przedmowy)

PALLOTTINUM

1951

Cena 25 zł.

Drogi Justusie,

Judasz miał rację: ten Człowiek wyzywa Swój los! Co On chce osiągnąć takim postępowaniem? Dlaczego wszystkich drażni? Pisałem ci już, zdaje mi się, że w Wielkiej Radzie powzięto przeciwko Niemu najostrejsze postanowienia. I nie wiele brakowało, a by je wczoraj wykonano... Gwałtowność decyzji naszych chaberim zaskoczyła mnie do tego stopnia, że nie potrafiłem stanąć w Jego obronie. Ocalił Go — przypadek?

Wypłynął z tłumu w ostatni dzień swiat niby oblok, który nie wiadomo, skąd pojawia się na gładkim niebie. Stałem zamyślony w tłumie, który zebrał się w synagodze przy Ciosowej Sali, by słuchając pobożnych nauk czekać na wyruszenie pochodu, gdy nagle, posłyszałem Jego głos. Och, ten głos — poznałbym chyba wśród tysiąca innych! Niezbyt głośny, nie cichy, równy, utrzymany na jednej nucie, a przecież nie monotony, nie suchy, nie obojętny — grający tysiącem uczuć niby powierzchnia jeziora, gdy dotknięta pierwszą poranną włócznie słońca gra tysiącem barw. Czy znasz człowieka, który nie mówi nigdy próżnych słów? Ja takiego nie znam. Każdemu z nas zdarza się mówić ot tak, aby coś powiedzieć. Ale Jego najmniejsze słowo ma wagę skały Dociera do dna. Uderza — i wywołuje echo. Jeżeli go nie wywołuje to chyba tylko dlatego, że to dno jest grząskim bagnem. Ale i wtedy... Nie — echo rozlegnie się zawsze, głośniejsz lub ciszej, prędzej lub później...

Rozwijał rulon, a między ludźmi biegł szmer: „To On! On! to Prorok z Galilei! To ten, który uzdrowił, który wskrzesił, który uwolnił... To On, którego chcą zabić.“ To ostatnie usłyszałem także. Więc i wśród amhaareków mówi się o tym, że Nauczycielowi grozi śmierć? Ale On nie wydawał się niczym zaniepokojony. Poczł czytać psalm bez pospiechu, akcentując każde słowo:

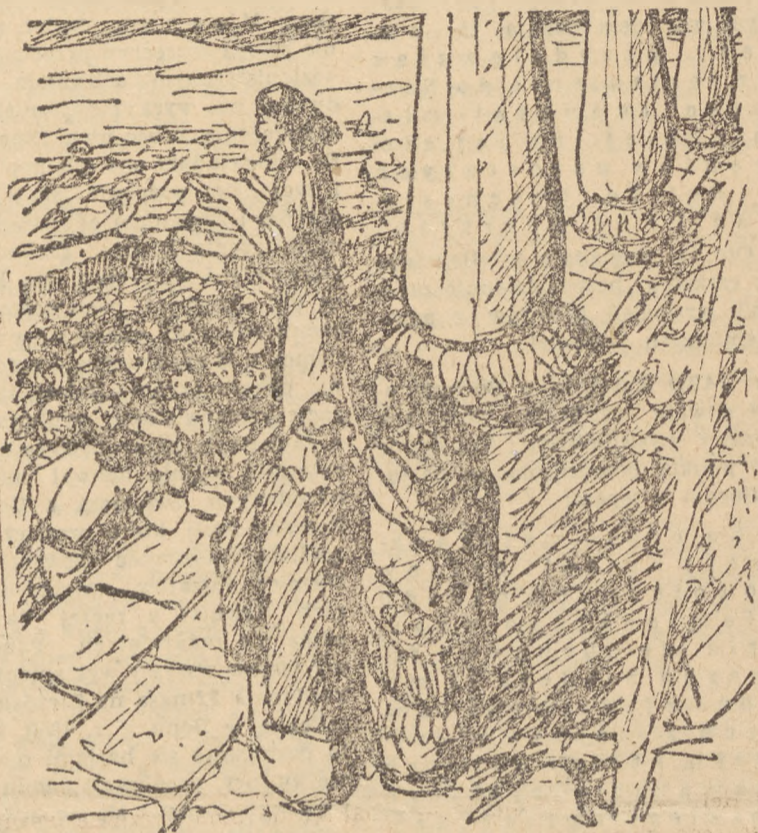
Dziwny w sprawiedliwości — wysłuchaj nas!
Sprawco naszego zbawienia,
Nadziejo ziemi i wód,
Budowniczo gór przepasany
siłą,
Wzburzycielu morza, które
szumi pod Twoim dotknięciem — wybaw nas!
Oto narody drżą widząc Twój
cuda.
Świat rozradował się od
wschodu do zachodu,
Boś obdarzył ziemię sowicie i
napiłeś ją wodą.
Zasiałeś zboże, a ono wyrosło
bujnie,
Dałeś deszcz — a zwisły pełne
kłosy.
Pola Twoje zrodziły plony
obfite,
Pastwiska są zielone i stada
owiec mają co szczypać...

Odrzucił rulon w ręce hazzana, wpatrzył się w twarze ludzi, którzy rozgorączkowani utkwili w Nim swój wzrok.

— Dziwny w sprawiedliwości... — powtórzył. — A czy wiecie jak jest sprawiedliwość Najwyższego? Słuchajcie. Był gospodarz, który wyszedł rankiem na targ by nając tam robotników do obrania z owoców winnicy swojej. I umówił się z nimi po denarze za dzień. Ale gdy słońce było już wysoko nad górami Moabu, koło godziny trzeciej, poszedł gospodarz drugi raz na targ i znowu nając robotników do winnicy swojej, obiecując dać im wedle tego, co nakazuje sprawiedliwość. I zrobił tak samo o godzinie szóstej, i dziewiątej. A i pod wieczór, gdy już zmierzch stał za bramą Wielkiego Morza o godzinie jedenastej poszedł gospodarz na targ, a znalazł tam ludzi, których nikt tego dnia nie nając, jak rozproszywszy się po placu grali w morze,

któcieli się i narzekali na swój los. I rzekł do nich: chodźcie do winnicy mojej, a oni poszli — jedni chętnie i śpiesznie, inni wolno, ociągając się, bo ich rozleniwiał cały dzień leżenia bez pracy. Kiedy zaś nadszedł wieczór i trzeba się było rozliczyć z robotnikami, wezwał ich gospodarz przed swój dom...

On zawsze, gdy dobiera przykładów, mówi o tym, co się dzieje obok. Wielu spośród tych, którzy się cisnęli w synagodze, byli gospodarzami winnic i tuż przed świętem rozliczyli się ze swoimi robotnikami; inni zaś należeli do niezliczonego tłumu najemników, którzy nie mają nic poza swymi dłońmi, by móc sprzedawać ich siłę i zarabiać w ten sposób na chleb dla swoich dzieci. Jego słowa posiadają zdolność przyspłania uwagi. W ciżbie słychać było



szybkie oddechy i szurganie stóp przesuwających się drobnyimi krokami w stronę tebuty.

— Gospodarz zaczął płacić od ostatnich, których nając — mówił dalej Nauczyciel. — Dał każdemu z nich po denarze, więc odeszli błogosławiąc mu i śpiewając z radości. Potem dawał tym, których nając o dziewiątej i o szóstej i o trzeciej. Każdy otrzymał po denarze... Więc i ci pierwsi, którzy cały dzień pracowali sądzili, że otrzymają więcej. Ale i oni dostali po denarze. Wtedy zaczęli szemrać. Nie chcieli przyjąć swej zapłaty. Zdziwił się gospodarz, zapytał ich: „Czemu szemrzecie? Czy skrzywdziłem was? Przecież umówiliśmy się o denara.“ — „Tak — odpowiedzieli. — Ale dlaczego tamtych dałeś także po denarze? Myśmy cały dzień harowali. Dziesięć potów spłynęło po naszej skórze. Napiliśmy ci całą kądź. A tamci — tyle, że pomogli nam wycisnąć grona. To niesprawiedliwość!“ — „Lecz oblecałem wam denara, a wy zgodziliście się na to. Denar jest dobrą, pełną, sprawiedliwą zapłatą. Czy przeczyście ten?“ — „Nie — przyznali — nie jesteś skąpcem. Denar za dzień pracy to piękna zapłata...“ „Wiedź czemu go nie bierzecie i nie wracacie do domu ze śpiewem jak tamci?“ „Bo to jednak nieładnie, że także denara dałeś im... Oni wcale się nie zmęczeli. Cały dzień wylegiwali się w cieniu palmy, a potem godzinę pognięli nogami... I taki pieniądz im dałeś! Złe zrobiłeś, niesprawiedliwie...“ „Czy dlatego niesprawiedliwie, że byłem dobry? — zapytał ich gospodarz. — Czy mi nie wolno było okazać miłosierdzia człowiekowi, który ostatni przyszedł do winnicy mojej? Czy mi nie pozwolicie postępować tak, jak ja chcę? Zawładł was ugryzła

Jan DOBRACZYŃSKI

niby skorpion... Lecz moją jest winnica i mój jest plon, który zbieracie. Dla każdego z was mam wielki pieniądz. I każdemu go dam, bo tak mi się podoba uczynić. Weźcie więc swoją zapłatę i idźcie w pokój... Błogosławięni ubodzy w duchu, ci, którzy nie pożądam bogactw. Można mieć wielki pieniądz, a pozostać ubogim, można nie mieć — a zachować serce bogacza... I żcie, póki nie gniewam się na was“. Taką, widzicie, jest sprawiedliwość Najwyższego. Miłosierna sprawiedliwość, dla której pierwsi są ostatnimi, a ostatni — ci odna-

nie chce mu być posłuszny!

— Nikt?! — wyrwało mi się. — Nikt?! — krzyknęło kilka głosów, tonem wyrzutu. Ludzie poczuli się dotknięci. — Coś Ty powiedział? — ostre zapytania poczęły padać ze wszystkich stron. — Mówisz, że nie chcemy być posłuszni prawu? Na jakiej podstawie to mówisz? Kto ci pozwolił nas sądzić. Jesteśmy wiernymi Izraelczykami! Spełniamy przepisy... Dlaczegoś tak powiedział?

Uciszył ich gestem.

— Nie jesteście posłuszni prawu — powtórzył surowo. — I dlatego chcecie Mnie zabić.

Na chwilę zrobiła się cisza, potem krzyknęło kilka głosów:

— My? My chcemy Cię zabić? Oszalałeś? Opełtało Cię? Kto Cię chce zabić?

Ale widziałem, że reszta ludzi milczy i tylko spogląda pytająco, to na wykrzykujących, to znowu na Nauczyciela. Gdy jedni wypierali się gwałtownie jakichkolwiek złych zamiarów wobec Niego, inni musieli pamiętać o pogroźkach, jakie były rzucane w Jego stronę.

— Wy — powiedział nieustępliwie. — Wy — powtórzył ze smutkiem, jakby się komuś skarżył. — I za co? Za to, że przed dwoma laty uzdrowiłem w szabat człowieka? A przecież obrzezujecie w szabat i usprawiedliwiacie tę czynność pragnieniem zdobycia nowej duszy dla Izraela. A życie człowieka? Czyż nie jest ono dla was dość ważne? Sprawiedliwie osądzcie, czy macie rację...

Synagoga napelniała hałas. Wszyscy teraz mówili, wykrzykiwali i przekrzykiwali się wzajem.

— Co On mówi? Szalony! Opełtany! Kim On jest? Co to za Człowiek? Złamał szabat? To wtedy, nie pamiętacie, przy sadzawce owczej... Ciągłe łamie szabaty! To Minim! Mówili, że ten Jezus zgini jeśli się ośmieli przyjąć do Jeruzolimy. A On mówi zachwale i niczego się nie lęka... Wypędź Go! Ukamienować! Ależ to Mesjasz! Nie, to Minim! Takie cuda potrafi robić tylko Mesjasz! Jaki tam Mesjasz! Pisma mówią, że Mesjasz nie wiadomo skąd przyjdzie, a Ten, wiadomo, że jest Galilejczykiem...

Ponad zgłębki rozległ się Jego głos, niby wołanie ptaka pośród burzy.

— Wiedźcie dobrze, kim jestem i skąd przychodzę. Zaufajcie Mi, zawierzcie... Widzicie przecież, że nie od Siebie mówię i nie Swoją naukę głoszę. Przyniosłem wam słowo Tego, którego nie znacie. Ale Ja Go znam, bo od Niego przyszedłem...

— Słyszycie?! — zawołał jakiś głos w ciżbie. — Mówi, że przyszedł od Najwyższego! Błuzni!

— Błuzni! — powtórzyło wiele głosów. Zobaczyłem, jak gromada faryzeuszów przepycha się między tłumem i wykrzykuje coraz to z innego końca sali. — Błuzni! Ukamienować Go! Błuzni!

— Lecz tyle cudów zrobił... — ktoś zaprotestował.

— Błuzni! Błuzni! Ukamienować! — wołali inni.

Znowu poczułem na ramieniu rękę Judasza.

— Widzisz, widzisz, rabbi — dawny kupiec szeptał mi w ucho pełne gorączki słowa — widzisz... Czy ci nie mówiłem? On chce, a by Jego zabili, a nas razem z Nim. On stchórzył, uciekł od Swej siły... Zdradził nas! Mówiłem ci... Nazwał mnie bogaczem... — w podnieceniu ścisnął mnie za ramię tak mocno, jakby chciał wyrwać kawał ciała. — Ja, bogacz! — parsknął szyderczym, nienawist-

LIST PIĘT

nym śmiechem. — Słyszałeś? Tak On płaci za wierność... — Przystałem wreszcie do rozumienia jego słowa — zamieniły się one w jeden bulgot gotującej się sliny. Zresztą w synagodze wszyscy krzyżowali, a ten hałas zagłuszał poszczególne słowa.

— Błuzni! Ukamienować!

— Wypędź! Wypędź Go! — ci, którzy krzyżowali „wypędzić“ nie pragnęli widać krwi Nauczyciela.

— Chcecie Mnie wypędzić? — posłyszałem Jego głos. Ludzie przycichli, chcą usłyszeć, co powie. Znowu kiwał głową, niby z litością nad ich żądaniem. — Już niedługo będę z wami... A kiedy odejść, próżno Mnie wtedy będziecie szukali; tam bowiem, gdzie Ja pójdę, wy pójdźcie nie zdołacie... Pomrzecie w waszych grzechach...

— Co On mówi? Co On mówi? — zahuczało znowu w tłumie. Coraz mniej Go rozumieli. — Gdzie On chce iść? On się chce zabić! — wykrzyknął pojedynczy głos, a mnie się wydawało, że był to głos Judasza. — Może On się wybiera do goimów? — pytał ktoś inny. — Znowu pewno chce im dawać chleb! Co On mówi? Co On mówi? — pytania krzyżowały się w powietrzu.

Nagle jakiś człowiek stanął pod samą tebutą i podniósłszy głowę rzucił prosto w twarz Nauczyciela:

— Kim Ty jesteś?

Poznałem tamtego — i poczułem na ramionach dreszcz złego przeczcucia. Ten mały człowieczek o uciekającym do tyłu niskim czole i przebiegłym wyrazie ukrytych głęboko oczu jest jednym ze starszych strażników Wielkiej Rady faryzejskiej. Nazywa się Gadi. Teraz także spostrzegłem, że za nim stoi kilku strażników z pałkami w rękach. Nie było wątpliwości: nasi chaberim zdecydowali się działać — szybko i bezwzględnie. Mogli sobie na to pozwolić: Pilat nie przybył na święta, zaś hegemon Sarkus był od dawna przekupiony. Tłum znajdujący się w bożnicy, byłem tego pewny, nie stanąłby w obronie Nauczyciela. A inni ludzie w mieście nawet nie wiedzą, że On przybył do Jeruzolimy. Zaskoczenie było zupełne.

— Kim jesteś? — powtórzył swoje zapytanie mały strażnik, niecierpliwie, jakby nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Ale i teraz nie widziałem na twarzy Nauczyciela zaniepokojenia czy niepewności. Może nie zdawał sobie sprawy z groźnego Mu niebezpieczeństwa? Nie spiesząc się z odpowiedzią utkwiał Swoje czarne, głębokie i spokojne oczy w biegających ślepiach człowieka, który Go pytał.

— Jestem Początkiem... — rzekł wreszcie. Podniósł głowę i objął spojrzeniem cały tłum stłoczony w synagodze. — Lecz odrzuciliście ten Początek — ciągnął. — Toteż dopiero, gdy Mnie podciągniecie w górę, przekonacie się, że jestem Tym, Który jest i że Moje słowa są słowami Ojca... Bo Ja zawsze czynię, co On pragnie. On zaś nigdy nie zostawi Mnie samego...

Urwał na chwilę. Oni już nie krzyżowali. Stali z wybałuszonymi oczami, z otwartymi ustami, spoglądając na siebie pytająco, kiwając głowami i wzruszając ramionami. Teraz już nie nie pojmowali. Mały strażnik podrapał się z zakłopotaniem za uchem. „O co Jemu chodzi? O czym On mówi? Co znaczą te słowa?“ — słyszałem wokół siebie szepty. Sam chętnie zapytałbym się także: co to znaczy, co On mówi? Co to

NASTY*)

znaczy „jestem Początkiem“? Czego początkiem? Nagła myśl przebiegła mi przez głowę: to na pewno — początkiem czegoś nowego! Świat, w którym żyłem, zanim Jego spotkałem, był stary. Wszystkie już w nim było znane: miłość i nienawiść, nędza i bogactwo... On przyniósł coś zupełnie nowego. Od Niego się zaczęło... Więc może to to znaczą Jego słowa? Lecz w takim razie i On jest zapowiadaczem czegoś czy kogoś, kto dopiero ma przyjść...?

— Więc kim Ty jesteś? — jeszcze raz powtórzył strażnik. Widziałem jak wysuniętym końcem języka polizał wargi, które mu wyschły. Ale Nauczyciel nie odpowiedział mu. Podniósł ręce w górę — zdawał się w tej chwili kapitanem, który za chwilę, tym samym gestem, wnosić będzie przez Bramę Źródlaną srebrny dzban wody — i zaczął mówić tym swoim tonem gorącego wezwania, w którym nie wiadomo czego jest więcej: prośby czy rozkazu:

— Kto z was jest spragniony, niech przyjdzie do Mnie. Ja mu dam pić...

Za murami synagogi rozległy się dźwięki trąb, fletów i piszczałek i pierwsze słowa hymnu:

*Hallelujah!
Chwalcie studzy, Pana,
Chwalcie Jego Imię.
Niech na wieki będzie ono
błogosławione,
Niech na wieki będzie czczone,
Od wschodu aż do zachodu...*

tłum poruszył się niecierpliwie. Czas było iść, aby wziąć udział w pochodzie. Lecz Nauczyciel trzymał wszystkich na uwierzy swoich słów. Mówił dalej:

— Kto z was pragnie niech tylko uwierzy we Mnie, a pragnąć już nie będzie. Rzeka wody żywej popłynie z jego serca... Czy nie pamiętacie co obiecał nabi Ezechiel? Gdzie przyjdzie ten strumień, każda istota ożyje...

Ale ludzie pociągani coraz głębszej rozlegającą się muzyką i śpiewem przestali słuchać i tłum nie poczęli wychodzić z synagogi. Jeszcze tylko mała gromadka stała przy Nauczycielu. Zobaczyłem jak strażnicy coś między sobą szepcą na boku i rozglądają się na wszystkie strony. Zaniepokoiłem się przypuszczając, że teraz właśnie zechcą porwać się na Nauczyciela. Ale oni tylko porozumiewawczo skinęli sobie głowami — i wyszli. Poczuli ulgę. Groza niebezpieczeństwa, które Jemu groziło przykuwała mnie do miejsca. Teraz poczułem się zwolniony. Już nie słuchałem dalszych Jego słów. Zamyślony skierowałem się ku wyjściu.

Lecz jakiś ciężar leżał mi w dalszym ciągu na sercu. Scena, którą widziałem, upewniła mnie, że wiele musi być prawdy w tym, co opowiada Judasz. On naprawdę zdaje się wyzywać niebezpieczeństwo. Dawniej mówił prosto, łagodnie, miękko — teraz mówił tak jakby chciał wszystkich do Siebie zrazić... To mnie przynębiło. Zdawało mi się, że On kończy mówić, więc przyspieszyłem kroku. Nie miałem w tej chwili ochoty na rozmowę z Nim. Obawiałem się, że skoro odezwie się do mnie, będę musiał Mu powiedzieć o Rut... Co by to było gdyby powiedział: czemu z tym do Mnie nie przyszedłeś? Nie, nie — to się już stało i nie należy nawet myśleć, że mogło się być inaczej! Skoro nie można już odwrócić losu, lepiej o nim nie mówić...

Postanowiłem za to, że zaraz po zakończeniu uroczystości pojędę do Wielkiej Rady by przekonać się, co

tam knują przeciwko Nauczycielowi. Mrużąc oczy wyszedłem na blask słońca i wmiszałem się w pochód, który szedł w dół, ku Siole, powiewając gałęzmi i śpiewając:

*Oto brama Przedwiecznego,
Oto brama sprawiedliwych!
Dziękujemy ci, żeś nas*

wysłuchał.

I zechciałeś nas zbawić.

Kamień odrzucony przez

murarza.

Stał się nowym fundamentem.

Najwyższy to sprawił

Widzieliśmy ten cud oczami

naszymi...

O Panie, zbaw nas!

O Panie, hosziah nna!

W Wielkiej Radzie było całe zgromadzenie najczcigodniejszych chaberim. Otaczali oni kołem rabiego Jonatana bar Azziel, który w tej chwili krzychał coś ostro do skulonego u jego stóp człowieka. W leżącym na ziemi poznałem Gadiego, starszego strażcy.

— Ty głupcze! Ty psie! Ty nieczysty! — krzychał uczony doktor. — Jak śmiałeś?! Czy ci nie powiedziałem wyraźnie co masz zrobić? Czekał — zobaczysz coś sobie wysłuży! Zatracimy ciebie i całą twoją rodzinę! Ty nędzarzu! Ty psie! — Jeszcze chyba nigdy nie widziałem wielkiego doktora w takim zacietrzewieniu. — Tak się wyplacasz za łaskę jaką ci okazaliśmy? — W gniewie podniosł nogę i kopnął w usta leżącego pachotka. — Ty psie! — pienieł się. — Ja ci pokażę być nieposłusznym! Czy tego nie wiesz, nędzny amhaarezie, kim my jesteśmy?! Nikt w całej Judei nie potrafi żyć jeśli my mu zaprzysięgniemy zgubę! Ty nędzo! Ty połamane! Z głodu zdychałeś, gdyśmy cię wzięli do służby i z głodu zdechniesz, kiedy cię z niej wyrzucimy!

Człowiek na ziemi usiłował przycisnąć usta do sandału rabbi Jonatana. Ale ten znowu kopnął go w twarz.

— Teraz to skomlisz! — krzyknął. — Ale przedtem śmiałeś się sprzeciwić naszej woli!

— Łaski najczcigodniejszy, najświętszy, łaski... — jęczał strażnik.

— Łaski wzywasz psie? Więc gadał wszystkim tu zebranim najczcigodniejszym: dlaczego Go nie przyprowadzicie?

— Nie zdołałem... największy z rabbin... nie zdołałem...

— Nie zdołałeś? A cóż On? Wydarł się z twoich rąk? Wezwał tłum przeciwko tobie?

— Nie, nie — stękał człowiek na ziemi. — On nic nie zrobił. Ale myśmy nie śmieli...

— Nie śmieliście! Słyszycie? — Jonatan z oburzeniem zwrócił się do stojących obok chaberim. — Nie śmieli! Nie lękali się sprzeciwić naszej woli. Ale wziąć tego Minim za kark i przyprowadzić Go tutaj — nie śmieli!

— Czy kazałeś to zrobić, czcigodny? — zapytał.

Gwałtownie zwrócił na mnie swe małe, żarzące się oczy. Miałem wrażenie, że część furii, którą w nim rozpałał gniew wobec Gadiego, spłynęła w słowa skierowane do mnie.

— Ach, to ty, rabbi Nikodemie? — usiłował nadać głosowi brzmienie słodkie. — Oczywiście, że kazałem. Wszyscy mu kazaliśmy. Ty byś także kazał, gdybyś wiedział, co ten Człowiek znowu wyplatał. — Usta mu dygotały jakby hamowanym płazem Zbliżył się ku mnie. — Wiesz co On gadał? — krzyknął. — Wiesz? Taką ułożył haggadę. To twoja specjalność,

rabbi, powinneś ją należyć ocenić... Powiedział, że do świątyni przyszło dwóch ludzi: faryzeusz i celnik. Ale wiesz kto z nich był sprawiedliwy? Celnik! Właśnie celnik! Bo modlił się pokornie. A faryzeusz chwalił się tylko ze swoich cnót. Wiadomo, że tak się dzieje... Więc po co On to opowiada? Żeby siać nienawiść! Żeby szcuć na nas hałastrę! Buntu chce! To nie żaden prorok, to buntownik! Łamał szabaty, łamał przepisy czystości, a teraz chce poprowadzić pospólstwo przeciwko nam! On już w Galilei mówił, aby się ludzie strzegli naszego kwasu... Cóż, mamy Go za to chwalić, pieścić, pozwalać Mu dalej siebie szkalować?! Tak, kazałem, aby Go straż tutaj przyprowadziła. Taki Człowiek nie powinien chodzić na swobodzie. Gdyby święte urzędy kapłańskie nie były w rękach lotrów, dawno by już siedział zamknięty. Ale czy ich to obchodzi, że ktoś szcuka na prawdziwą wiarę i na zbawienne przepisy?! Im tylko chodzi o złoto, o nie więcej! Sami zdradzają Zakon! Kazałem Go tutaj przyprowadzić. Temu — wskazał palcem na leżącego na ziemi człowieka. — Wrócił z niczym. Nie śmiał, powiada teraz, wziąć Proroka z Galilei za kark. Nie śmiał! Dlaczego to nie śmiał, psie?!

— O najczcigodniejszy — skomlał strażnik — o, najczcigodniejszy... ja... On... nigdy nikt nie mówił jak ten Człowiek... nigdy, na prawdę...

— Nikt nigdy? — w głosie Jonatana była pogardliwa ironia — Żaden z dostojnych i czcigodnych rabbin? Tylko właśnie ten... Minim? Hej! — skinął na służbę — zabrać tego głupca i nauczyć go kijami rozumu. Trzydzieści dzieści plag — podniósł ostrzegawczo palec — nie przekroczyć liczby. Ale bić ile siły. A potem ściągnąć z niego dziesięć denarów grzywny...



— Łaski, łaski — zaczął ikać człowiek. — Skąd wezmę tyle pieniędzy? Moje dzieci pomrą z głodu...

— Lepiej wychowasz następne... — powiedział zimno Jonatan. Wskazał gestem służbie, by mu podała miskę i dzbanek wody. Długo i starannie mył końce palców pod srebrnym strumieniem. Jęczącego i zanoszącego się płazem pachotka wyprowadzono tymczasem z sali. Strzepując dłońe a potem ocierając je w miękki lniany ręcznik Jonatan powiedział przez zęby:

— Wymknął się nam z ręki! Gdyby nie ten głupiec, już by Go nie było! Ale dostaniemy Go jeszcze... Długo żywy chodzić nie będzie...

— Więc chciałeś Go zabić, rabbi? — zapytałem nieco naiwnie. Teraz dopiero uświadomiłem sobie jak wielkiemu niebezpieczeństwu uszedł Nauczyciel.

— Nie, chciałem Go tylko pogłaskać... — odpowiedział wolno, patrząc na mnie przymrużonymi oczyma.

— Nasz Zakon — powiedziałem a głos mi zadrżał z podniecenia — żąda, by człowiek winny był przesłuchiwany i osądzony należycie...

Jonatan nie odpowiedział. W szparczkach jego oczu czytałem pogardę i umiętnie trzymany na wodzy gniew. Natomiast zza jego ramienia wyrwał się rabbi Joel.

— Ty Go nie broń, czcigodny! — zawołał. — Ty Go nie broń! — Wielki pokutnik za grzechy Izraela trząsał się w strasznym gniewie. — Co, może ty, Nikodemie, sam się zrobiłeś Galilejczykiem odkąd tam za Nim poszedłeś? Ty Go nie broń!

— Zamiast Go bronić — odezwał się z boku rabbi Johanaan bar Zakaj — weź lepiej święte księgi i poczytaj. Przypomnisz sobie, że Judea jest matką proroków. Z Galilei przychodzą tylko rzezimieszki...

— Tak, lepiej poczytaj Torę — powiedział jeszcze ktoś.

Stojący kręgiem doktorowie patrzyli na mnie wzrokiem przeszywającym. Pod pozorami życzliwości wyczuwałem chłód tych spojrzeń niby dotknięcie wielu noży na gołej skórze. Po plecach spłynęła mi fala chłodu, serce skoczyło mi gwałtownie w pierś, i zrobiło mi się, jak bym miał zemdleć. Ale przemogłem się: udając obojętność. Nie odezwałem się więcej, opuściłem Giosową Salę.

Nauczyciel siedział następnego dnia pod portykiem Salomona, otoczony kołem uczniów i słuchaczy. Kiedy się zbliżyłem, uśmiechnął się do mnie życzliwie. Powiedział:

— Witaj, przyjacielu, Najwyższy niech będzie z tobą...

Nigdy jeszcze nie nazwał mnie w ten sposób. Także i Jego uśmiech wydał mi się inny niż zazwyczaj: bliższy mnie, bliż-

Co on oznacza? Radość? Z czego radość? Z tego, że Rut umarła i to tak okrutnie? Chciałem się zbuntować — lecz nie umiałem tego zrobić... Czemu On się uśmiecha? Zawsze Go podejrzewałem, że nie jest najszczęśliwszy wtedy, kiedy uzdrawia, lecz byłby najszczęśliwszy gdyby ktoś przyszedł do Niego i nie chciał być uzdrowiony...

Moje przybycie przerwało Jego naukę. Nie wiem o czym mówił poprzednio, ale musiały to być słowa wstrząsające, bo widziałem, że ludzie obok Niego siedzą zamyslni, z czołami sfałdowanymi i ścigniętymi brwiami, z palcami wplecionymi między włosy brody lub z głową opartą na zaciśniętej pięści. Uczniowie byli tu wszyscy. Patrzyłem na ich twarze i wydawało mi się, że czytam na nich wyraz niepewności i załknięcia. Więc jednak, myślałem, musiało się coś zmienić. To nie są już ci hałaśliwi amhaarezi, nieznosząni w swym przekonaniu, że dzięki swemu Mistrzowi staną się władcami świata.

Nagle odezwał się Szymon. Zanim powiedział, chrząknął i zacisnął brwi tak silnie, że dwie żyły wezbrały mu na skroniach. Zapytał się tchórzliwie, jak ktoś, kto niepewnie sonduje dno, na którym osiadła jego łódź:

— To jeśli... jeśli tak jest między mężczyzną i kobietą... lepiej się, prawda, nie żenić... prawda?

— Nie, Piotrze — po raz pierwszy usłyszałem jak mu dał to nowe imię. — Są ludzie otrzebleni już w żywocie matki; są których otrzeblił kat; ale są i tacy, którzy sami siebie otrzebili, by znaleźć Królestwo. Lecz bądź spokojny. Pojmie ten, któremu jest dane...

Wielki rybak nie wydawał się jednak uspokojony. Z porwyczością w głosie, która wyglądała na rozpacz, wykrzyknął:

— Jak może żyć człowiek bez żony, bez dzieci, bez miłości?

Czego On znowu zażądał? — przebiegło mi przez głowę. Nie lubię Szymona. Ale jego niepokój był zrozumiały. Idąc za Nauczycielem porzucił dom, żonę, dzieci. Może się nawet z nimi nie pożegnał, odchodząc śpiesznie? Ale ich się przecież nie wyrzekł na zawsze! Wprawdzie kiedyś powiedział Nauczyciel coś takiego, aby się nikt nie odwracał od pług... Więc czego On znowu żąda? — powtórzyłem w duchu. Nauczyciel zaś rzekł łagodnie:

— Są rzeczy, których człowiek ani uczynić ani nawet pojąć nie potrafi. Ale dla Przedwiecznego nie ma nic niepodobnego. — Wzrok Jego przeniósł się ze skurczonej od wysiłku twarzy Szymona na zakłopotane twarze innych uczniów, biegł po nich, niby palce grajka po strunach cytry, aż wreszcie spoczął na mnie. Znowu czułem na sobie jego wzrok, niby pocałunek słońca, niby najdelikatniejszą z pieśzcot. — Wierście Mi — powiedział — każdy, kto opuści dom i żonę, i dzieci, i swą miłość, dla Mnie — sto razy tamto otrzyma a życie wieczne w dodatku...

Znowu uśmiechnął się a troska z ich twarzy ustąpiła jak ustępuje nocy cień z kąta, gdy go stamtąd wymiecie płomień słońca. Oni są lekkomyślni i byle czym można ich pocieszyć. Ale przyznaję, że i we mnie Jego słowa budziły niepojętą radość. Znasz to? Nie się nie stało a przecież nagle inaczej bije serce i świat wydaje się całkiem inny... Znowu chciałem się zbuntować. To łatwo tak mówić, protestowałem w duchu, że można wszystko oddać a to, co się oddało otrzyma się z powrotem stokrotnie! Nie chcę stu Rut...! Gdyby ona powróciła... Lecz nie powróci! To są słowa... Tak mó-

(Dokończenie na str. 8)

Bronisław JANTAR

Filip Buchez — chrześcijański socjalista

M AŁO jest u nas na ogół znany ruch socjalistyczny, który rozkrzewił się bujnie w pierwszej połowie XIX wieku we Francji, a który później otrzymał nazwę „socjalizmu utopijnego” lub „zrzeszeniowego” („asocjacyjnego”). Słuszność pierwszego określenia może wzbudzić pewne wątpliwości, a w każdym razie wymaga uprzedniego zdefiniowania, co się rozumie przez „utopijność”, by móc dać odpowiedź, czy rzeczywiście ten interesujący ruch społeczny zasługuje na nieco deprecjonującą nazwę „utopijnego” i jeśli tak, to pod jakim względem?

Należy zaznaczyć, że „socjalizm utopijny” przez swoje idee i hasła oddziałal potężnie na powstały później „socjalizm naukowy”. Dorobek „socjalizmu zrzeszeniowego” w wielu dziedzinach (szczególnie krytyka ustroju kapitalistycznego) wszedł w skład „socjalizmu naukowego”, który przyjął określenie „naukowy” dla zaznaczenia, że nie zawiera w sobie żadnych utopijnych pierwiastków. Niektórzy jednak autorzy francuscy nazywają „socjalizm zrzeszeniowy” raczej „racjonalistycznym”, gdyż wierzy w potęgę rozumu, który ma wprowadzić świat na właściwą drogę rozwoju, lub też „optymistycznym” ze względu znów na wiarę w siłę perswazji i przykładu w realizacji głoszonego programu. Związek zaś socjalizmu francuskiego z katolicką tradycją i nauką jest niewątpliwie. Nawiązywanie do św. Saint-Simona Bazard twierdził: „Nous sommes tout à la fois les héritiers du catholicisme et les continuateurs de la Révolution”. Bliższa analiza tej kwestii wymaga oddzielnego rozpatrzenia.

Zagadnienia tego szczegółowo nie rozważam pragnąc jedynie zapoznać czytelnika z jedną z ciekawszych postaci tego kierunku, niedocenianą często przez historyków społecznych. Osoba ta jest Filip Józef Buchez ur. w 1796. Wiek młoki jego działalności (połowa XIX w.) przypada więc na okres rozpoczynającego się zamętu, lecz zamętu plodnego, bizemniennego i bogatego w idee. Okres potęgających się sprzeczności społecznych, lecz zarazem twórczych poczynań i prób wyjścia z zamętu.

Nie wszyscy socjaliści, zrzeszeniowi uważali sobie dostatecznie wyraźnie historyczny proces powstawania nowej, wielkiej klasy robotniczej. Nie wszyscy też przewidywali jej przyszłą rolę. Filip Buchez zaliczał się do tych nielicznych, którzy działalnością swą związali się ściśle z klasą robotniczą. Z zawodu lekarz, (i to bardzo ofiarny lekarz, jak okazało się to w czasie epidemii cholery w 1854) większą część swego życia poświęcił teoretycznym studiów w zakresie historii, filozofii i nauk społecznych oraz działalności politycznej i społecznej.

W młodości jest karbonariuszem, jednym z założycieli tajnej organizacji „Charbonnierie française”, następnie przyłącza się do szkoły Saint-Simona, by po pewnym czasie zerwać z nią i stać się przywódcą nowej katolickiej szkoły społecznej, która uzyskuje znaczny wpływ w środowisku robotniczym. Zakłada pierwsze w Europie produkcyjne zrzeszenia robotnicze stając się tym samym ojcem spółdzielczości wytwórczej. W rewolucji 1848 r. odgrywa dość znaczną rolę polityczną. Równocześnie pracuje naukowo wydając dzieła filozoficzne, historyczne i medyczne, przy czym w dziedzinie historii zdobywa sobie znaczny rozgłos. Ta bujna działalność Bucheza kończy się z chwilą objęcia władzy przez Napoleona III. System autorytarny nie stwarza odpowiednich warunków dla działalności tego typu ludzi co Buchez.

Jakkolwiek zainteresowania i działalność Bucheza były rozległe, to do historii społecznej przetrwały jednak przede wszystkim jako działacz i teoretyk robotniczego ruchu zrzeszeniowego, bowiem w swoich pracach filozoficznych nie wykazał doskonałej jednocy i ściśłości myśli. Szlachetny ten człowiek, gorący patriota, wierzący katolik, radykalny działacz społeczny, związany z ówczesnym ruchem robotniczym we Francji i naukowo zasługujący na przypomnienie choćby i z tego względu, że ślady jego myśli i działalności znaleźć można u źródła wielu aktywnych i dziś jeszcze ruchów.

Jakkolwiek mniej znany od Proudhona i L. Blanc'a oddziałal na nich silnie, a szczególnie na ostatniego, który skorzystał wiele z jego dorobku teoretycznego. Działalność Buchez jest ponadto interesującym przewidywaniem do historii ruchów społecznych w XIX w. Europie, świadcząc dowodnie o twórczym

wkładzie chrześcijańskich działaczy do takich nawet dziedzin naszego życia, które wydają nam się obecnie dość obce nurtowi chrześcijańskiemu.

KATOLICYZM SPOŁECZNY

W MŁODOŚCI swojej Buchez, zanim przystąpił do szkoły Saint-Simonistów, staje się pod wpływem studiów przyrodniczych naturalista. Dość szybko jednak dochodzi do wniosku, że światopogląd ten mu nie wystarcza.

Zasadniczy przełom Buchez dokonuje się jednak dopiero w r. 1825, gdy ukazuje się „Le Nouveau Christianisme” Saint-Simona. Buchez staje się jednym z współpracowników pisma „Le Producteur”, wydawanego po śmierci Saint-Simona przez jego wiernych uczniów, a po zawieszeniu pisma przez władzę, jednym z przywódców szkoły Saint-Simonistów.

Szkola ta wywarła na Buchez silny wpływ, szczególnie w kwestii przebudowy społecznej na bazie reformy religijnej. Jednak drogi Buchez i Saint-Simonistów rozchodzą się już po paru latach (1829 r.), gdyż pierwszy staje zdecydowanie na platformie katolickiej, drudzy zaś usiłują utworzyć jakąś nową quasi-religię (d'Enfatin).

Buchez nie rezygnuje z samej doktryny Saint-Simona, gdyż szkoła, którą tworzy, tzw. szkoła neo-katolicka, opiera się w zasadzie na podstawach i dorobku teoretycznym Saint-Simona oraz przyjmuje jego zasadniczy cel: nową organizację stosunków produkcyjnych. Buchez próbuje jednak sprzeczyć niejasny ideał społeczny Saint-Simona, a czyniąc to tworzy w znacznej mierze rzecz nową i oryginalną.

Od momentu zerwania ze szkołą Saint-Simonistów rozwija Buchez ożywieńską działalność. Owocem tego są poważne prace badawcze interesującym odbiciem ewolucji jego poglądów*. Buchez godzi dwie rzeczy, wówczas na pozór przeciwne sobie, jak katolicyzm i socjalizm. Otóż idea zbliżenia względnie przepojenia idei socjalistycznych i demokratyzmu duchem chrześcijańskim nie była za jego czasów nowością, przynajmniej od czasu ukazania się „Le Nouveau Christianisme” Saint-Simona. Lecz nowa, oryginalna cecha stanowi u Buchez to, że próbuje on wykazać zgodność idei ówczesnego socjalizmu z katolicyzmem.

Argumentacja Buchez opiera się na kilku zasadniczych przesłankach. Przede wszystkim tak jak Saint-Simon szuka on naukowego pojmowania historii.

Podstawowa idea u Buchez jest idea postępu. Pojawiła się ona w historii razem z chrześcijaństwem i stanowi odąd ogólne prawo rozwoju świata. Opierając się na idei postępu odrzuca on indywidualistyczny pogląd na społeczeństwo jako na prostą sumę niezależnych jednostek głoszących supremację celów ogólnych nad indywidualnymi. W naszej epoce, powiada Buchez, jednostka jest tylko cząstką ogólnego społeczeństwa. Każda istota, a więc i człowiek, nie jest stworzona dla siebie samej, lecz ma do spełnienia pewną funkcję w ogólnym porządku świata. Nie może więc być celem człowieka osobiste szczęście, gdyż cel leży poza człowiekiem. Cele ogólne wyznacza nam moralność, a postęp polega właśnie na realizowaniu tych celów. Historycznie biorąc, postęp ludzkości polegał na osiąganiu stopniowo celów wynikających z każdorazowych systemów moralnych, w których ostatni był zawsze wyższy od poprzedniego. Najwyższym systemem moralnym jest chrześcijaństwo, a cel, który stawia, jest najszczytniejszą realizacją braterstwa i uniwersalnej jedności.

Ruchem społeczeństwa kieruje idea postępu, lecz nie znaczy to, by ruch ten odbywał się mechanicznie w z góry zdeterminowanym kierunku. Wolna wola bowiem pozwala człowiekowi wybrać między dobrem i złem i dlatego Buchez odrzuca ówczesne poglądy deterministyczne, prowadzące praktycznie do fatalizmu.

— W tym świetle istotnym, źródłem postępu staje się moralność, która swe apogeum osiąga w chrześcijaństwie, a charakteru obowiązującego dla jednostek nabiera dzięki religii. Religia więc wyznacza w istocie kierunek rozwoju ludzkości i nadaje właściwy charakter epoce.

Buchez traktuje reguły moralne,

wywodzące się w naszej epoce z Ewangelii, nie oddzielnie, lecz jako pewną całość, nadrzędną i niezależną od subiektywnych interesów jednostek.

Religia spełnia jeszcze dodatkową doniosłą rolę, gdyż ona jedna daje człowiekowi najlepsze uzasadnienie konieczności ofiar, poświęceń i walki z egoizmem, których to rzeczy wymaga realizacja postępu.

Lecz to, że celem człowieka nie powinno być osobiste szczęście, nie oznacza dla Buchez, by jednostka nie miała być szczęśliwa, lecz raczej to, że szczęście swoje znajdzie ona w urzeczywistnieniu ogólnego postępu w myśl powiedzenia: „Szukajcie zawsze królestwa Bożego i sprawiedliwości, a reszta, będzie wam dana z nadwyżką”.

Skoro Buchez przyznaje w swym systemie tak ważną rolę chrześcijaństwu, powstaje pytanie, na którym z dwóch zasadniczych wyznaczników się on oprzeć. Otóż, stwierdza Buchez, katolicyzm w przeciwieństwie do protestantyzmu stoi na stanowisku jedności społeczeństwa i jego suwerenności oraz supremacji celów ogólnych nad indywidualnymi. Tak więc w filozofii katolickiej znajduje on realizację zasady jedności całego społeczeństwa w sensie wspólnego celu i wspólnych społecznych obowiązków wszystkich.

KRYTYKA REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

7 ASADA ta jest równocześnie socjalistyczna. Toteż Buchez odważa wyrazić niechęć do Zgromadzenia Narodowego Wielkiej Rewolucji Francuskiej, które na pierwszy plan wysunęło prawa indywidualne, a nie wspólny cel i obowiązki społeczne; natomiast odnosi się z sympatią do założeń ideowych Konwentu i Jakobinów, ponieważ ci głosili właśnie supremację społecznych celów powszechnych nad indywidualnymi i posiadali poczucie jedności narodowej. Potępił natomiast Buchez ruch Babeufa, gdyż ten jego zdaniem chce zapewnić szczęście jednostce kosztem całkowitego znieszenia wolności. Ideał skoszarowania ludzkości napawa Buchez wstrętem, „ponieważ byłoby to penitencją robotników naszych do poziomu moralności niewolników rzymskich”.

Ogólna zaś ocena Rewolucji Francuskiej przez Buchez wydaje nam się nawet dzisiaj dość nieoczekiwana, a cóż dopiero czytelnikowi w XIX w. Otóż we wstępnym artykule do pierwszego numeru „Revue National” (1847) mającego być kontynuacją „L'Européen”, twierdzi Buchez, że to wszystko, co różni cywilizację współczesną od starożytności wywodzi się z katolicyzmu. Również Rewolucja Francuska jest „katolicka w swej istocie i początku; ośmielamy się twierdzić — pisze dalej Buchez — że podstawowe zasady Rewolucji: wolność, równość, braterstwo i jedność są z ducha katolickiego; tak że ten wielki kryzys społeczny (współczesny dla Buchez — przyn. autora artykułu) będzie mógł być tylko wtedy zakończony, gdy rewolucjoniści staną się katolikami, albo katolicy rewolucjonistami”. W ogóle Buchez uważał, że wszystkie przemiany społeczne 18 w. dokonały się z inspiracji moralnych nauk chrześcijańskich.

Ale dlaczego Buchez jest równocześnie socjalista? Nie ulega wątpliwości w wyborze postawy społecznej, że odegrał rolę, obok momentów rozumowych, również i momenty uczuciowe: współczucie dla pokrzywdzonych, pragnienie czysty i wiary w możliwość stworzenia na tej drodze sprawiedliwego dla wszystkich ustroju społecznego. Idea jedności społecznej prowadzi Buchez do swoistego rodzaju kolektywizmu. Do tego samego wniosku prowadzi analiza współczesnego społeczeństwa i omówiona już idea postępu. We współczesnym już kapitalistycznym społeczeństwie panuje wszechwładnie dogmat nieczym nie ograniczonej wolności. Prowadzi on do egoizmu i sobkostwa jednostek. Tu leży przyczyna antacjonalizmu między klasami i plejami, których ofiara są robotnicy i kobiety, jako słabsi.

Mimo pewnej młistości w sformułowaniu niektórych zagadnień, a również niewątpliwie pewnym brakiem ściśłości w interpretowaniu doktryny nauk Kościoła, światopogląd Buchez można określić jako socjalistyczny, chrześcijański koncepcje świata. Jej cechami charakterystycznymi są: świadome usiłowanie synchronizacji warty religijnej z naukową wiedzą społeczną, oraz idee o zasady moralne, które należy wprowadzić praktycznie w życie oraz

ściśle związane religijnej moralności z ideą postępu.

Stojąc na tej płaszczyźnie zgrupował Buchez wokół siebie grono uczniów „L'Européen journal de morale et de philosophie”. Niektórzy współpracownicy Buchez poszli dalej, wступując do zakonów lub do stanu duchownego; on sam pozostał jednak „na progu kościoła”, by jako katolik świecki walczyć o realizację zasad chrześcijańskich w życiu politycznym i społecznym oraz, by pozostać pomiędzy „dwoma obozami katolickim i socjalistycznym, kontynuować pożyteczną rolę pośrednika.

TEORETYK RUCHÓW SPOŁECZNYCH I SPÓŁDZIELCZYCH

NI EWĄTPLIWIE teorie społeczne i spółdzielcze Buchez są najwartościowszym i najoryginalniejszym jego wkładem do socjalizmu. Przede wszystkim Buchez jest tym socjalistą, u którego sprzeczności klasowe, wskazane już przez Saint-Simona są bodaj najmniej podkreślone. „Społeczeństwa dzielą się na dwie klasy, z których jedna posiada w swym ręku wszystkie narzędzia pracy, ziemię, fabryki, domy, kapitały, a druga nie ma nic; pracuje więc na pierwszą.” Buchez jest jednym z pierwszych socjalistów, który problem wyższości oświecia ze strony teoretycznej cennymi uwagami. Zdaniem jego mimo zniesienia niewolnictwa i poddaństwa istnieje wysoki człowiek przyrodzie człowieka. Buchez, tak jak i następne pokolenia, szuka gorączkowo takich form stosunków społecznych, które by usunęły wzajemną zależność człowieka od człowieka.

Temu celowi służą subtelne konstrukcje naukowe, wykazujące, że nie kapitał i środki produkcyjne są właściwymi twórcami wartości, lecz jedynie siła robocza człowieka. Każdy zaś rodzaj renty jest uszczupleniem dochodu robotnika, a wysokość tej renty przy danej płacy stopniem wyższości. Jak usunąć wyszys? Otóż Buchez proponuje reformę stosunków produkcji przez nową organizację pracy, która dałaby robotnikom własność środków produkcji w postaci własności kolektywnej. Stowarzyszenie (association) produkcyjne — oto właściwa droga reformy ustroju. Robotnicy, produkując na własny rachunek! — wywodzi Buchez. Lecz tutaj kończy się teoria, a rozpoczyna się praktyczna realizacja programu Buchez, a wraz z nią niezwykle trudności.

Jak uczynić robotnika właścicielem warsztatu pracy, gdy nie posiada żadnych kapitalów? Otóż przez ogłoszenie prawa asocjacji w pracy czyli konkretnie mówiąc, przez zakładanie wytwórczych spółdzielni robotniczych, opartych na demokratycznej organizacji produkcji, które miały osiągnąć dwa cele: wvelimnować najemnictwo, a więc obejmąć się bez pracodawców oraz podnieść płace. Równało się to w praktyce obaleniem ustroju kapitalistycznego i wprowadzeniem nowego ustroju, dość jeszcze nieokreślonego. Stąd hasło: „Republika w warsztacie”. Dotykamy tu sedna socjalizmu utopijnego. Zrzeszenie, asocjacja ma być lekarstwem przeciw dolegliwościom ustroju kapitalistycznego.

W decydującej zaś kwestii zdobycia niezbędnych kapitalów na uruchomienie tych spółdzielni, Buchez opracowuje projekt stworzenia wspólnego kapitalu społecznego; otóż część zysku wytwórczych zrzeszeń ma być przelewana na niepodzielny i niezbywalny kapitał społeczny, który należałoby do całego stowarzyszenia jako takiego. Członkowie natomiast nie mieliby do niego żadnego prawa, choćby nawet wystąpili ze stowarzyszenia. W koncepcji tej występuje właściwa dla Buchez przewaga czynników społecznych nad indywidualnymi. Stowarzyszenie ma być zarodkiem nowego, lepszego życia i interesy jego jako całości są decydujące, a nie interesy członków. Jeden z uczniów Buchez określa je jako bractwo religijne i socjalistyczne zarazem wprowadzone do łona społeczeństwa świeckiego dla jego odrodzenia*. I rzeczywiście historia pierwszych spółdzielni wytwórczych dostarcza wzruszających przykładów ofiarności i godnego podziwu samozaparcia ze strony wielu robotników. Powstała jednak z wielkim wysiłkiem wytwórcze stowarzyszenia robotnicze nie utrzymują się w otoczeniu kapitalistycznym, nie mówiąc już o tym, że nigdy mu poważnie nie mogą zagrozić. Nie miejsce tu, by omawiać bliżej przyczyny niepowodzeń tego

ruchu; było ich wiele, lecz wśród nich niepoślednią rolę odegrało wrogie nastawienie dyktatorskiego rządu Napoleona III do tego ruchu, o czym się często zapomina szukając przyczyn li tylko wewnętrznych, tkwiących w samym ruchu stowarzyszeniowym.

Rzeczywiście, długo istniała i pomyslnie rozwijała się jedynie spółdzielnia pracowników biżuteryjnych w Paryżu zał. w 1834 r., lecz wyróżniała się ona specjalną atmosferą religijnego braterstwa wśród członków. Charakterystycznym szczegółem dla obrazowania „ducha” tej spółdzielni jest fakt, że podczas Walnych Zgromadzeń czytano głośno poszczególne ustępy z Ewangelii. Podobny nastrój, charakterystyczny dla pierwszych gmin chrześcijańskich czy też komunistycznych gmin XV i XVI w., trudno uczynić powszechnym.

Lecz i ta spółdzielnia upadła po dłuższym okresie pomyslnego rozwoju, gdy tylko osłabił wśród jej członków duch braterskiego poświęcenia oraz pojawiły się poważniejsze utrudnienia ze strony burżuazyjnego rządu francuskiego. Spółdzielnia wyrodziła się, a po tem upadła (1873) potwierdzając swoim losem wniosek, że droga asocjacji robotniczych nie jest właściwą dla zmiany ustroju, na to zaś, by trwać w otoczeniu kapitalistycznym, opierając się li tylko na własnych siłach i wartościach, niezbędny jest bardzo wysoki poziom moralny i ideowy zrzeszonych członków. Nie ulega wątpliwości, że idea Buchez wywarli silny wpływ z jednej strony na chrześcijańskich socjalistów w Anglii (J. M. Sudlow „Society for promoting workingmen's associations”) z drugiej zaś strony na socjalistów francuskiego L. Blanc'a, którego „Organizacja pracy” zyskała w latach 40 tego wieku wielką popularność we Francji. Jednak w przeciwieństwie do Blanc'a Buchez jest zdecydowanym przeciwnikiem jakiegokolwiek ingerencji państwa w tworzeniu tych zrzeszeń wytwórczych (a więc odrzuca pomoc finansową, gdyż prowadzi to do etatyzmu, a więc do ograniczenia wolności. Natomiast, zgodnie ze swym chrześcijańskim światopoglądem, przywiązuje Buchez niezwykłą wagę do czynników moralnych. Przede wszystkim własną pracą i własnymi wartościami moralnymi należy tworzyć lepszy świat. W tym celu należy rozwijać w robotnikach wiarę we własne siły, godność osobistą i obywatelską, ohywanie się bez pomocy państwa. Własność narzędzi pracy robotnicy francuscy zdobyła przez „association libre et volontaire” stowarzyszenie, w którym wartości moralne będą górować nad materialnymi.

Jakkolwiek trzeba stwierdzić, że z punktu widzenia ich możliwości realizacyjnych w skali masowej poglądy Buchez były w znacznej mierze utopijne, nie możemy negować ich wartości moralnej i ideowej. Odegrały one niewątpliwie dużą rolę w ideologicznym oświeceniu i wyrobieniu klasy robotniczej, czego dowodem jest powstanie w 1840 r. pierwszego zapewne na świecie pisma robotniczego o czysto proletariackiej redakcji, pod nazwą „l'Atelier”. Pismo to z wypisanym pod tytułem hasłem „kto nie pracuje, ten nie je”, spełniło pożyteczną propagandową rolę szerzenia idei szkoły Buchez, aczkolwiek nie było jej organem, podobnie jak liczne broszury wydawane przez zwolenników Buchez jak np.: „Apel do ludzi dobrej woli”, „O konsekwencjach egoizmu w polityce i przemysle” i t. p.

DZIAŁACZ I POLITYK

Z ARYSOWANY obraz nie byłby jednak pełny, gdybyśmy nie uwzględnił jeszcze kilku innych momentów świadczących o szerokokim zainteresowaniu Buchez i o jego czynnym stosunku do wszystkich ważniejszych przejawów ówczesnego życia. Nawet sprawa polska nie była mu obojętna.

Przede wszystkim Buchez bierze czynny udział w rewolucji lutowej 1848 r. uważając ją za rewolucję ogólnoludową. Na czele swego oddziału Gwardii Narodowej szturmuje Tuilerie. Zostaje jednym z marów Paryża, pracując pozytywnie nad wprowadzeniem życia na nowe tory. Wybrany tego roku do Zgromadzenia Konstytucyjnego młodej Republiki zostaje jego przewodniczącym i usilnie stara się zainteresować deputowanych położeniem klasy robotniczej.

Buchez był zwolennikiem silnej władzy państwowej, lecz pod warunkiem, by pochodziła rzeczywicie od ludu i była w ścisłym związku z lu-

* Introduction à la science de l'histoire, 1853 (Histoire parlementaire de la Révolution française) (1838). „Essai d'un traité, complet de philosophie du point de vue du catholicisme et du progrès...”

* Uczeń Buchez A. Ott pisze w r. 1838 broszurę propagandową „Des associations d'ouvriers” wraz ze statutami.

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (18)

Opowieść o cudownym dziecku we mgle

Są zjawiska w literaturze, które „same w sobie” nie przedstawiają jeszcze dojrzałego przedmiotu analizy i długo musiałyby czekać na poważniejsze omówienia, gdyby nie fakt, że skupiają w sobie cechy symptomatyczne i są wkładnią problemów szerszych niż problem jednej indywidualności artystycznej czy głębszych niż zawartość jednego, choćby najciekawszego utworu lub tomu.

Do takich zjawisk najczęściej należą debiuty. „Same w sobie” rzadko przedstawiają wartość domagającą się natchnionych ocen, czy prowokującą do wnikliwszej analizy, zwracając jednak na siebie uwagę natężeniem swoich cech egzemplifikacyjnych i wyrazistością odbitych w sobie rysów bardzo charakterystycznych dla danego okresu czy dla danej formacji społecznej tendencji rozwojowych.

Jednym ze zjawisk tego typu jest debiut poetycki Antoniego Podsiada, któremu Instytut Wydawniczy „Pax” umożliwił bardzo wczesne wystąpienie „książkowe” w ramach omawianych przez nas od pewnego czasu arkuszy.

Debiut Antoniego Podsiada domaga się chwili baczniejszej uwagi przede wszystkim ze względu na ważność procesów, które — choćby nieświadomie — ilustruje swoim sensem ideologicznym i jego artystyczną reperkusją. Uchwycenie tego sensu możliwe jest tylko wtedy, jeżeli na skromny dorobek młodego debiutanta spojrzymy „historycznie”, jeśli chwycimy kolejne stadia widocznych przemian i nawarstwień.

PRYMUS W PRZEDSZKOLU

Zaczęło się bardzo ładnie i bardzo obiecująco. Pewnego dnia do redakcji dodatku „W młodych oczach”, który co dwa tygodnie ukazywał się (i ukazuje się w dalszym ciągu) przy „Słowie Powszechnym”, przyszedł list z Łomży czy Lubartowa. List prosił o druk załączonych wierszy. Załączone wiersze nie potrzebowały prośby listu. Nakazywały się drukować same sobą. Uderzało w nich bogactwo ładunku wizualnego, bogactwo świeżego, pachnącego słowa, bogactwo niewątpliwego talentu, który objawił się jako jeszcze jedna manifestacja samorodnej siły poetyckiej. Na brak kontroli intelektualnej, na trochę anarchiczną konstrukcję utworów nie zwrócono wtedy uwagi. Cudowne dziecko i tak wywołało w poetyckim przedszkolu powszechną sensację.

Wymiar tej sensacji, w chwili gdy prymus przedszkola przeszedł na łamy „Dziś i Jutro” wyobrazimiony został pewnymi składnikami pozaliterackiej natury. Zainteresowani pamiętają spór o metrykę autora i detektywistyczne dochodzenia wpływologiczne.

Jedno wszakże zdawało się pewne: młoda poezja polska zyskała w Podsiadzie niewątpliwego talentu. Wielka siła obrazu, świeżość plastycznych skojarzeń, natężenie wizualne każdego wiersza aż do granic „namacalności” niemal, silna, aromatyczna aura prostej leksyki, prężność toniczna każdej prawie komórki zdaniowej — wszystko to nadawało jego utworom czar urzekającego odkrycia, które szczególnie mocno kontrastowało z tłem zblazowanych czy krzykliwych wypowiedzi starszych o kilka czy kilkadziesiąt lat kolegów. Ekspresyjna intensywność jego poezji z każdego wiersza czyniła eksplozję poetyckiego żywiołu, każdy wiersz dynamizowała na miarę manifestu pierwotnej siły słowa, każdy wiersz skraplała w samą esencję poetyckości. Intensywność ta podporządkowana idealowi humanistycznego państwa w człowieka, humanistycznego protestu przeciwko gwałceniu jego świętych praw do życia, piękna i radości — pasowała Podsiadzie na poetę dużej miary, która wzrastać powinna

proporcjonalnie do rozwoju doświadczenia artystycznego i rozszerzenia się horyzontów świadomości ideologicznej. W pierwszym okresie ogólnikowa zasada humanistyczności poezji wydawała się dostatecznym jej uzasadnieniem ideowym, stanowiła bowiem potencjalną możliwość dokonywania koniecznych w następnych etapach precyzji i samookreśleń.

Gdy „Pax” przystąpił do przygotowywania arkuszy poetyckich, redaktorzy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że wśród dziesięciu wybranych musi znaleźć się i Antoni Podsiad.

EGZAMIN CZASU

Pochylił się nad tekstem debiutanckiego arkusza. Kilkanaście zebranych w nim wierszy, którym dane było z zaklęskionego brulionu wydawać w świat, przekazuje nie tylko wiedzę o jednym z istnień obdarzonych poetycką siłą widzenia, ale jest także — dla nas zaś przede wszystkim — zobiektywizowanym przez czcionkę drukarską symbolem rozwoju i lesu talentu poetyckiego, który mamy prawo i obowiązek poddawać surowemu egzaminowi czasu.

Arkuszy poetycki Antoniego Podsiada jest obiektywnym potwierdzeniem wspomnianych poprzednio w sposób ogólnikowy pochwał.

Zdolność bezpośredniego przekazywania wyrazistej wizji czujnemu słowu, zdolność tłumaczenia ogólnikowej, humanistycznej prawdy o świecie na język poetyckiego zestawu obrazów, zdolność przyswajania sobie trudnej tajemnicy poetyckiego wyliczenia faktów, które samą siłą ładunku emocjonalnego oddają czytelnikowi całe twórcze wzruszenie poety — przemawia do nas z wielu wierszy.

Niechaj przykładem będzie jedna strofa z wiersza pt. „Dwa palce podnoszą do góry”. Pisze w niej Podsiad:

„Skarżyły się głośno czujki,
brzęczały nisko muchy,
o nogi ocierał się katek,
liście drzaty pod dłoń,
— ludzki płacz najgłębszy.”

W pierwszych czterech zwrotkach obrazach nasyconych ciepłem dyskretnie zaznaczonego współczucia dla współcierpiącej przyrody przygotowana jest jednocześnie prawda humanistycznej hierarchizacji świata, wyrażająca się piątym członem tej strofy. To, że „Ludzki płacz najgłębszy” brzmi nie tylko jak stwierdzenie faktu, ale jest jednocześnie wyrazem ogólnej postawy ideowej postawy młodego humanisty, który nie wyszedł jeszcze poza prawdy globalne, lecz i nie spłynął ich do sloganów.

W ten sam prosty wizualnie sposób postawę swoją wyraża poeta w wierszu pt. „W fiołkowy wieczór”, gdy pisze:

Chciałbym przeczytać poemat
i wypisaną
Na skórze żaby przegotowanej.
Chciałbym mój smutek uboić w
[kolebkach liści
Cóż, kiedy się nie zniechęci...

Ten sposób wyrażania humanistycznej godności poezji krystalizuje się u Podsiada w świadomą zasadę działania poetyckiego. Często, może nawet zbyt często, przypomina o tym czytelnikom i sobie.

Jednocześnie także uwodzi go poezja obrazu, który wyraża tylko zachętę dla świeżości dostrzegania pewnych zjawisk. Wtedy słowo jego nabiera szczególnej wyrazistości, wibruje własnym wewnętrznym życiem, jest maksymalnie precyzyjne, ale nie precyzją figur geometrycznych, lecz precyzją skojarzeń wizualnych. Wiersz staje się wówczas sumą wizji nieprzetłumaczalnych na język określonego sensu ideowego, lecz urzeka samą swoją świeżością.

To objawienie piękna wizji poetyckiej dla samej wizji w arkuszu jeszcze nie wzbudza obaw, bo wstępnie w kontekście pozwalającym wiersz

w progresję ideową autora, w rozwój jego autoprecyzji. Dlatego, gdy czytamy „Miłość do Dziewanny”, cieszymy się nią wraz z poetą. Wraz z poetą z jednego kręgu wizji wkraczamy w drugi, jeszcze bardziej wysublimowany, jeszcze silniej eksplodujący żywiołem plastycznej obrazowości.

W wierszu tym poeta pisze:

„Twoje oczy — Dziewonno — na-
[brzmiałe kaszlanem”

a w komentarzu dodaje:

„Kaształy —
zawieszane na drzewie kotłyszają się
[setki oczu”.

i dalej:

„Twoje uszy — Dziewonno — wa-
[pienne muszelki”

a w komentarzu:

„Muszelki
na uchu odcisnęły misterny ślad
[stopy.
Nadeptane na drodze, którą czas
[kroczył”

Ta śmiała konstrukcja utworu w innym kontekście mogłaby się wydawać sztucznym usprawiedliwieniem jakiejś perwersji wizualnej, polegającej na finezyjnej gradacji samej wizualności, w kontekście arkusza poetyckiego każe się jednak traktować jako notowanie wzruszeń estetycznego widzenia, któremu objawia się świeże, nowe piękno.

I te cechy swoich wierszy poeta wyraźnie, może nawet zbyt wyraźnie, podnosi do rangi świadomie realizowanej zasady. W tytułowym utworze zbioru zwraca ku sobie „Pieśń ognistej salamandry”, która zaklina go żarliwie:

„Pamiętaj, pamiętaj poeto
siedemnastoletni:
— patrz: wokół prorocy-poeci
z wykwinnych, obłudnych metafor
budują wieże Babel —
Cherchy ci lzy pod powieką
zaschły, osłygi w kamienie
Zachowaj masz na wieki
świeżość spojrzenia dziecka.”

Tej świeżości niewątpliwie wiele uroku i wiele siły poetyckiej zawdzięczają wiersze Antoniego Podsiada. Szkoda jednak, że ta świeżość spojrzenia dziecka stała się cechą statyczną, to znaczy, że niezmiennością swoją warunkuje niezmienną perspektywę patrzenia, niezmienną widzenia świata. Już w arkuszu, poddanym egzaminowi czasu, występują ujemne skutki tego ratowania świeżości spojrzenia przez zachowywanie jego wąskich perspektyw i jego egocentrycznych nastawień.

UPORCZYWE DZIECIŃSTWO

Podsiad ciągle chce być dzieckiem. Ta kokieteria, czy autokokieteria, rodzi swoisty infantylizm, czytelnik niepokoi się ciągłym nawrotem ku przeszłości dzieciństwa, która je jednocześnie nie jest przeszłością. W pewnym momencie zaczyna go zenować młodość poety, który ją ciągle niby-dyskretnie przypomina.

Dostrzega się wtedy drugą, również przykrą cechę, która szczególnie silnie jest podkreślona właśnie przez te infantylne, trochę chyba manieryczne, napomknięcia o swoim wieku przedpoborowym. Jest nią „ekshibicjonizm poetycki”. Oczywiście, liryk ma prawo, więcej: ma obowiązek zamykać w kształcie artystycznym swoje przeżycia osobiste, ma prawo do wyznań najintymniejszych. Istnieje jednak pewna granica dyskrekcji, granica mądrej wstydlivosti czy męskiego opanowania. Granica ta nie przebiega przez sferę tematu, lecz rysuje się raczej w płaszczyźnie formalnej, w dziedzinie doboru środków, w selekcji określeń, w dozowaniu intymności. Podsiad często te granice przekracza. Odstawia te sprawy, czy raczej te napięcia emocjonalne, które wymagają dy-

skretniejszego oświetlenia, subtelniejszej szczerości, mniej żenującego — excusez le mot — nachalnictwa zwierzeń. Przyznają twarcie, że nie potrafią dokładnie uargumentować tego tekstem. Sprawa jest delikatniejsza niż słowo, myślę jednak, że dowody na słuszność sformułowanych tu zastrzeżeń leżą w orbicie takich określeń jak na przykład:

„choć pokłótki przybite na progu
na szczęście
worywały się w tyłek przez lejbi-
latany —
on gmeral się, czerwienił i stękał
zawzięcie”...
(„Wspomnienia łomżyńskie”)

lub

„Poeta w snach i czynach,
osierniony, wdowi
zrodzony w bólu, łzach szczęścia
zrodzony czysty i świeży,
rózowy o oczach niebieskich...
(„Ognista salamandra”)

czy wreszcie w takich przyrostkach jak ten wymowny, żenujący przyrostek do pięknego słowa „matka”, który czyni z niej „matczyko”.

Ten błąd wynika niewątpliwie ze zrozumiałej, ale groźnej w przerosłach skłonności ku koncentrowaniu całej uwagi na własnym „ja”. Egocentryzm poezji Podsiada stanowi wskutek przerosłów jej dalszą cechę ujemną.

Z nią łączy się bezpośrednio pewna powielaczowość, nawrotność, nadmierne eksploatowanie własnych motywów. Predylekcia do mrówek gąsienic, motyli, muszelek, ptaków, pasikoników i zaskrońców, cały ten początkowo uroczny, a później niepokojący zoologizm i botaniczność akcesoriów poetyckich jest wynikiem niedostatecznej samokontroli twórczej.

Sumując wszystkie radości i niepokoje, zastanawiając się nad pięknymi wierszami poety, trudno obronić się przed jednym, niestety, późniejszymi utworami Podsiada smutnie potwierdzonym, wnioskiem.

Autor „Ognistej salamandry” z wielką wzajemnością rozkochany w poezji unika koniecznego w sztuce trudu obiektywizacji.

Formułując ten zarzut formułujemy zarzut zasadniczy. Los poetycki Podsiada potwierdza ważność tego zarzutu i dlatego jest groźnym symptmem.

CZŁOWIEK NIE JEST PTAKIEM

Sztuka wymaga obiektywizacji. Bez obiektywizacji nie ma sztuki. Poeta, który „śpiewa tak jak ptak śpiewa” nie zda egzaminu czasu. Człowiek nie jest ptakiem, człowieka zobowiązuje jego człowieczeństwo. Twórca musi tworzyć świadomie. Świadomość sensu i celu dzieła nadaje temu dziełu rangę dzieła sztuki. Sztuka jest obiektywizowaniem wadów zdeponowanych w twórcy przez wrodzony talent, czy przez kulturę literacką, czy wreszcie przez pomnożenie i talentu i kultury literackiej wyłożoną pracą intelektu i woli. Obiektywizacja samego siebie i otaczającego twórcę świata, obiektywizacja, polegająca na chwytaniu i rozumieniu realnych proporcji między zjawiskami i realnego sensu naszego uczestniczenia w tych zjawiskach jest jednocześnie siłą wyzwalającą pełne możliwości twórcze, siłą wzmacniającą funkcjonalną, a więc jedynie obiektywną, wartość tych możliwości. Artysta tworząc dzieło, w trudzie obiektywizowania ustala właściwy stosunek między tym dziełem i światem, między sobą i drugim człowiekiem. Trud prawdziwej obiektywizacji musi skłonić prawdziwego artystę do precyzji ideowych, musi określić jego stanowisko wobec zachodzących wydarzeń, musi uczynić jego dzieło odpowiedzialnym wobec obiektywnych instancji odwoławczych, jakimi są założenia i zobowiązania przyjęte przez twórcę Prawdy.

Innymi słowy: obiektywizacja procesów twórczych jest zaszerogowaniem ich w określoną hierarchię celów, jest przełamaniem subiektywnej zasady odwoływania się do samego siebie jako instancji ostatecznej i jedynej. W konkretnym działaniu poetyckim ma to ten skutek praktyczny, że utwór przestaje być tylko manifestowaniem nieokreślonej substancjalnej płazmy, talentu, zamiłowań, czy wreszcie schorzeń, ale staje się logicznym produktem świadomości, kierującej wszystkimi „żywiolowymi” objawieniami samego siebie samemu sobie.

Utwór zawiera w sobie poetycko wyrażoną i świadomie przeselekcionowaną, odcedzoną z fusów wiedzę o życiu i człowieku, wiedzę o rzeczywistości. Nie znaczy to wcale, że poezja jest zjawiskiem par excellence intelektualnym, nie znaczy to wcale, że jej funkcja poznawcza realizuje się w identycznych przebiegach myślowych jak funkcja poznawcza nauk szczegółowych czy filozofii. Bynajmniej. Poznawczą funkcję sztuki określa i warunkuje mnóstwo czynników pozaintelektualnych, muszą one jednak być kontrolowane rozumowo, musi je przesycać i hierarchizować świadomość intelektualnej odpowiedzialności za treść objawianą w kształcie artystycznym, za kształt artystyczny objawiającej treść. W przeciwnym wypadku poezja staje się manifestacją nieporządkowanego żadnemu celowi egoizmu estetycznego, staje się — w kategoriach społecznych sprawę ujmując — śpiewem ptaka, którego ludzie nie rozumieją i zrozumieć nie mogą, chociaż go słyszą i chociaż im się podoba.

Podsiad jest ptakiem. Lektura jego wierszy publikowanych w „Tygodniku Powszechnym” i „Dziś i Jutro” już po ukazaniu się „Ognistej salamandry” dowodzi, że młody, obdarzony wielkim talentem poeta zrezygnował z podjęcia trudu obiektywizacji, zaniechał koniecznych precyzji ideowych, koniecznego sumowania, rewidowania i selekcionowania doświadczeń artystycznych. Poprzestał na żarliwej miłości do obrazu, do dźwięku, do świeżości zjawisk, które mniej są dla niego częścią określonej rzeczywistości, a więcej fenomenami wędrującymi sobie po czymś, co nie wiadomo czym jest i dążącymi ku czemuś, co nie wiadomo czym będzie.

Ten łatwy i niefrasobliwy intelektualnie fenomenologizm poetycki wyzwala jeszcze z wielkiego potencjału możliwości młodego poety obrazy piękne i urzekające bogactwem wizualnego ładunku (jak choćby wiersz pt. „Estetka” czy „Wojna nad morzem”, drukowane w numerze 284 „Dziś i Jutro”), ale w bilansie choćby tak krótkiego okresu, jak ten o którym mowa, wykazuje niebezpieczną stagnację i niebezpieczną dezorganizację wzruszeń estetycznych, stanowiących dla siebie początek i koniec wszelkiej mądrości i wszelkiej wiedzy o świecie. Funkcja poznawcza poezji została tu zredukowana do minimum, jej walory estetyczne stały się pożywką rozigranego anarchicznie żywiołu słowa, konstrukcja wierszy coraz częściej każe przed sobą bezradnie rozkładać ręce, metaforę przekraczają granice dopuszczalnej dziwności, dziwią się samemu sobie, klucz od ich sensu ideowego i emocjonalnego wrzucono in mare tenebrarum, obrazy wynaturzają się w hiperkombinacje wizualne. W tak separatystycznie tworzonej krainie anarchii poetyckiej poeta potrafi zjeżdżać na nartach po wypukłościach czystych polizzków, a ziemia tam „może być głoweczką puchatą mleczu”, poeta zaś czuje się „lawirantem niebieskim” lub „konikiem niebieskim z oczkami turkusowych pierścionków”. W kręgu rze-

(Dokończenie na str. 8)

*) Antoni Podsiad: „Ognista Salamandra”, Inst. Wyd. „Pax” Warszawa 1961

LIST NIKODEMA

(Dokończenie ze str. 5)

wliem w sobie. Lecz gdy podniosłem oczy, zobaczyłem, że On wciąż na mnie patrzy i uśmiecha się. I — nie mogłem być zbuntowany...

Nagle posłyszeliśmy koło siebie krzyk i zgłęb. Ciężka ludź szła w naszą stronę. Znowu szarpnął mną niepokój: pogroźki rabiego Jonatana stanęły mi w pamięci. Strach odmalował się także na twarzach uczniów: ich oczy poczęły biegać niespokojnie, jakby w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Na czele zbliżającego się tłumy szło kilku faryzeuszów. Ale nie zauważyłem strachu. Idąca zgraja prowadziła kogoś między sobą. Widziałem ich brutalne gesty, sły szalem krzyki, gdy tego kogoś zmuszali, by szedł przodem. Ludzie otaczający Nauczyciela odruchowo cofnęli się do tyłu. On jednak siedział nieporuszony, spokojny, z podniesioną głową, z tym samym przyzywającym uśmiechem, z jakim Go znalazłem przed godziną.

Tłum stanął tuż przed Nim. Jeden z chabérim wysunął się naprzód. Skłonił się drwiąco przed Nauczycielem. Zrozumiałem, że to nie jest napad, ale jakaś próba zabawienia się kosztem Proroka z Galilei.

— Witaj, Rabbi — powiedział — Patrz, kogo do Ciebie przyprowadziliśmy. — Kazał rozsunąć się przybyłym, ci zaś wypchnęli przed Nauczyciela jakąś kobietę. Była prawie naga: przyciskała tylko kurczowo do piersi urwany płaszcz przescieradła. Choć róż na jej policzkach był starty od uderzeń a poczerwiałe rzesy rozplynęły się w smugi czarnych łez, od razu można było poznać czym przyprowadzona zawiniła. Jej plecy drżały, z rozerwanej ucha, z którego ktoś wyrwał kolczyk, spływała nitka krwi. Miała głowę wciśniętą w ramiona, wzrok wystraszony, który biegał od człowieka do człowieka. Zdawał się błagać każdego z nich o litość, każdemu wszystko obleczać. Nie wiadomo było czym była bardziej przerażona: swą hańbą czy groźbą śmierci. Widziałem jak jej stopy, skopane o krzyczących czerwonych paznokciach drobny niespokojnie. Wzrok kobiety szukał wszędzie ratunku spoczął także na Nauczycielu. W pierwszej chwili odskoczył przerażony: może Jego uśmiech wydał się kobiecie jeszcze jednym nagrywaniem się mężczyzn, którzy z niezrozumiałych dla niej powodów zamienili pieszczoty na bezlitosne uderzenia. Znowu kulila

się niby jeź. Ale po chwili, nieśmiało spojrziała po raz drugi. Na pewno coś musiała ją uderzyć w Jego wyglądzie, bo spuściła oczy i objęła się ramionami, jakby chciała nimi zastąpić niedostatecznie przykrytą nagosć.

Młody Faryzeusz zrobił znowu szeroki gest.

— To cudzołożnica, Rabbi — powiedział. — Zastaliśmy ją na grzechu...

— Czego chcecie ode Mnie? — zapytał Nauczyciel.

— Abyś ją osądził. Co mamy z nią zrobić?

Jeszcze nie mogłem się zorientować do czego zmierza to wszystko. W każdym razie była to jakaś pułapka zastawiona na Nauczyciela. Ten zamiar łatwo można było odczytać z twarzy młodych chaberim.

— A cóż wam każe robić Mojżesz? — Nauczyciel mówił bez podniecenia a Jego łagodnie uśmiechnięty wzrok spoczywał na kobiecie, jakby Go nie raził jej wygląd. Ona musiała czuć to spojrzenie, bo wciąż stała z opuszczoną głową, wstydliwie oplecioną ramionami.

— Mojżesz? Och, znamy prawo — faryzeusz zaśmiał się, pewny siebie — Mówi Tora: kto cudzołoży z żoną drugiego, musi zginąć i on, i cudzołożnica... — Ta kobieta cudzołożyła. Taką zwykło się kamienować. A co Ty o tym mówisz? — pochylił się drapieżnie nad siedzącym u stóp kolumny Nauczycielem. Wydawał mi się, że pojąłem na czym polegała zasadzka. Oni znają Jego litość. Więc chcieli Go przycisnąć do muru, wykazać publicznie, że swoim postępowaniem sprzeciwia się prawu.

— Musi zginąć! — krzyknęło kilku ludzi. — Ukamienować ją!

— Ukamienować! Niech ginie! Ohydna! — w głosie, który usłyszałem obok siebie była zapiekła nienawiść. Ze zdumieniem obejrzałem się: to był przecież głos Judasza. Uczeń z Kariotu stał z zacisniętymi pięściami, z wargami wyciągniętymi jak do pluśnięcia. Był wściekły jakby chciał się rzucić na kobietę. — Niech ginie! — sapał.

— Więc zgadzasz się, że taką trzeba zatłuc jak psa? — zapytał faryzeusz. W tonie jego głosu był zawód; nie przyszedł tu przecież by usłyszeć potwierdzenie przepisu Tory. Kobieta słysząc jego okrzyk zadrżała jeszcze mocniej. Ale nie zrobiła żadnego błagalnego gestu. Zobaczyłem tylko, że nogi uginają się pod nią.

Nauczyciel wolno wstał. Kiedy siedział, wydawał się w kole stojących ludzi mały i nędzny. Ale kiedy wyprostował się, Jego głowa wzniosła się ponad głowy tłumy. A ten wyraz twarzy! Jak On potrafił się zmienić! Miękką dobroć ustąpiła miejsca majestatycznej powadze. Teraz był kimś, przed kim z respektem cofnięto się o krok.

— Powiedziałeś — zaczął powoli — że według prawa cudzołożnicę? Niech więc ten spośród was, który jest bez grzechu, rzuci na nią kamieniem...

Z Jego czarnych oczu nagle, zdawać by się mogło, posypały się skry. Nie wybuchnął, ale Jego wzrok uderzył bezwzględnie w oczy otaczających Go ludzi. Ci zaś znowu cofnęli się o krok. Niektórzy z nich trzymali już w rekach kamienie. Teraz poukrywali je śpiesznie w fałdach kurtki. Jeszcze raz tłum zrobił krok do tyłu. Między ciżbą a Nauczycielem powstała pusta przestrzeń w której pozostała stojąca kobieta, niby pal wbity między kamienie

Nie powiedział już nic więcej. Pochylił się, przykłąknął i na kamiennym płycie pokrytej czerwonym pyłem, tuż obok nóg grzesznicy napisał coś wyciągniętym palcem. Słowo trwało tylko chwilę, bo już powiew, który polatywał tego dnia nad miastem, zatarł litery wyciśnięte w piasku. Zdołałem jednak odczytać: i ty cudzołożyteś. Ktoś cofnął się między ludzi i zniknął w tłumie. To był ten młody faryzeusz. Nauczyciel znowu napisał słowo. Brzmiało ono znowu: cudzołożyteś. Jeszcze jeden z bliżej stojących zawrócił i przedko dał nurka między ciżbę. Długi delikatny palec prędko robił znaki. Słowa sypały się: czasem widziałem je, czasem nie miałem ich czasu odczytać. Ale po każdym słowie ktoś odchodził. Inni odchodzili także jakby nie chcą czytać przeznaczonych dla siebie oskarżeń. Tłum przeredzał się. Ten i ów z ludzi, który trzymał kamień, rzucał go teraz ukradkiem. Nauczyciel nie przestawał pisać. Jakby pisał na wodzie: słowa nie pozostawały — zniknęły, zacierały się same. Ale chwila, którą trwały, wystarczyła...

Na koniec nie było już żadnego z oskarżycieli. Jeszcze tylko stał Judasz z zacisniętymi pięściami wciąż z nienawistnym oskarżeniem na ustach. Nauczyciel poprzednio pisząc, nie podniósł głowy. Ale tym razem podniósł ją. Jego twarz, taka tego dnia pogodna, zszarzała. Jakby część pyłu, na którym wypisywał grzechy ludzkie, padła na nią. Wzrokiem zda-

wał się wzywać Judasza. Z niewypowiedzianym smutkiem spoglądał na niego. Ten jednak stał pełen uporu i zawziętości. Wtedy pochyłł się, i coś napisał.

Nie zdołałem przeczytać napisanego słowa. Lecz w oczach ucznia z Kariotu błysnął strach jak u złapanego w pułapkę zwierzęcia. Zaciśnięte pięści rozkurczyły się szybko. Judasz rozejrzał się, jakby się chciał przekonać, że nikt nie widział tego, co napisał Nauczyciel. Nieznacznie cofnął się. Widziałem jak się ukrył, za kolumną.

Czekałem co teraz nastąpi. Nauczyciel klęczał dalej z palcem na płycie. Ale już nie pisał. Powoli podniósł głowę. Znowu miał twarz pogodną i dobrą. Skierował wzrok na kobietę a ona natychmiast wybuchnęła bezgłośnie płaczem. Łkała z twarzy wykrzywną, nie mogąc jej zakryć, bo obu dłońmi przytrzymywała prześcieradło. Po wyczerwieniu policzkach płynęły znowu łzy. Nie patrzyła na Nauczyciela. Przyciskała do piersi dygoczącą brodę i coraz niżej schylała czoło. Brudne, czarne łzy leciały w czerwony pył i na jej nagie stopy.

— Nie płacz — powiedział z dobrocią — żaden Cię przecież nie potępił...

Zaniósł się jeszcze gwałtowniejszym, żalonym płaczem.

— Ale Ty... Ty... Ty...

— Ja ciebie nie potępię — uśmiechnął się pogodnie. — Idź i tylko już nie grzesz...

Płakała dalej cicho, coraz ciszej. Potem wolno odwróciła się i odeszła. On patrzył za nią długo, jakby ją podtrzymywał wzrokiem. Milczeliśmy. Znowu Jego palec dotknął płyty oprószonej czerw-

nym pyłem. Jakby w zamyśleniu rysował na niej jakieś zygzaki. Ale przyjrawszy się im lepiej odkryłem, że to były słowa. Pisał coś śpiesznie na wygładzającej się się wciąż na nowo powierzchni. Wydawało mi się, że mogę odczytać: „...powiedział: nie pójdę! Ale potem poczuł żal i poszedł wykonać wolę Ojca. A drugi rzekł: idę. Ale nie poszedł. Dlatego nie idziesz, choć cię wołałem tyle razy?”

Może mi się tylko zdawało, że On tak napisał? Dla ludzi były napisane te słowa? Zniknęły i nie żyło już. Wiatr zmiótł je wygładzając piasek. Zresztą On sam, jakby dając tym znak, że skończył pisać, przesunął piaską dłoń po kamieniu. Ciągłe nikt z nas nie mówił. Nie wiem dlaczego, ale gdzieś w głębi serca zbudził się we mnie niepokój. Był to zresztą niepokój łagodny, nie szarpający, wolny od rozpacz. Lękałem się czegoś, co przecież wydawało się promienne jak nadzieja... Dla kogo, On napisał to: dlaczego nie idziesz? myślałem — i gdzie ten kto ma iść? Gdzie On woła?

Lecz może On tego wcale nie napisał? Nic nie mówiąc więcej wstał i odszedł, a za Nim Jego uczniowie. Zostałem jak człowiek obudzony, wyrwany z koła snów. Było cicho tylko wiatr, lekko dyżąc, płał nitki słońca, zasnuwając miękkim woalem dolinę Cedronu i czarny stok góry Oliwnej. Może On tego nigdy nie napisał? — powtarzałem stojąc przy balustradzie nad urwiskiem. Jakim On jest dziwnym Człowiekiem... Nigdy nie mówił, że czegoś chce, coś każe. Prosił tylko lekko jak nieśmiały żebrak. Albo pisze na piasku słowa, które rozwiewa wiatr zaledwie zostaną napisane. A przecież — tak trudno Jemu odmówić! Jan Dobraczyński

Opowieść o cudownym dziecku

(Dokończenie ze str. 7)

czywistości rządzącej się tak precyzyjnymi i tak zastanawiającymi swoim poziomem intelektualnym prawami może twórca pytać sam siebie, czy jeszcze nie dojrzał do godności ptaka. W istocie, trudno mu tej „godności” odmówić. Słowik słowi słowisienki ciewy.

Nie należy nigdy przesadzać z surowością osądu. Antoni Podsiad zachwyca jeszcze niejednym obrazem, urzeka niejedną metaforą, budzi wzruszenia niejednym fragmentem swoich ostatnich wierszy, aby wspomnieć chociażby pierwsze strofy „Wróby”, drukowanej w „Tygodniku Powszechnym”. Nie należy jednak nigdy pobłażać poetom, którym się wydaje, że ich poezja, to ich prywatna sprawa.

Podsiad zamiast marzyć o godności ptaka, powinien kusić się o umacnianie w sobie godności poety świadomego swoich wewnętrznych walorów i swoich społecznych przeznaczeń. Może tę godność bezpowrotnie zatracić w tanim wygodnictwie sycenia uszu i oczu, w głodzeniu i głuszeniu świadomości. Ostatnie jego wiersze nadal świadczą o wielkim talencie, ale tym bardziej przykra ich wymowa, tym bardziej niepokojące ich bałaganiarstwo intelektualne, ich anarchia i panoszące się w niej samowładztwo obrazu, uzurpatorska dyktatura metafory, chaotyczne interregnum po skazaniu na banicję Intelaktu i woli, kontrolującej prawdę słowa, które — zwolnione z zobowiązań ideowych — puściło się z wiatrem samowolnych zachcianek.

NA UBOCZU WIELKICH SPRAW

Autor „Ognistej salamandry” interesuje nas tutaj w równej mierze i jako Antoni Podsiad i jako casus Podsiad. Dlatego wydaje się, że ogólną diagnozę jego choroby poetyckiej, która sprowadza się do lekceważenia trudu

objektywizacji, trzeba pogłębić a przynajmniej rozszerzyć komentarzem, pomagającym i czytelnikom i autorowi zrozumieć całą sprawę dokładniej.

Poezja Antoniego Podsiada rodzi się i rozwija na uboczu wielkich spraw. Wielkie sprawy toczą się szerokim traktem historii, a Podsiad patrzy na nie z kryształowej kuli swojego poetyckiego azylu, w którym ogólnikowa forma protestu przeciwko złu minionej wojny jest dostatecznym — w oparciu o subiektywne przekonania poety — uzasadnieniem ideowym działalności twórczej. Antoni Podsiad wychodząc z określonego środowiska społecznego, z klasy robotniczej, publikując swoje utwory na łamach prasy katolickiej zobowiązywał swoją poezję niepiśmą umową obowiązujących kazeo-gon konsekwencji do reprezentowania określonego nurtu społecznego i określonej postawy światopoglądowej.

Nie chodzi tu o deklarację. Nie chodzi o to, aby Podsiad pisał koniecznie o współzawodnictwie pracy, czy przekraczaniu norm. Nie chodzi o to, aby wiersze jego były poetyckimi komentarzami do „Summy Teologicznej”, czy poetyckimi rozprawami o dogmacie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Chodzi o to, aby poezję jego przenikał żywy nurt zrozumienia ważności zjawisk społecznych, uznania ich obiektywnego sensu i obiektywnej konieczności przetwarzania tego sensu w materię poetycką. Chodzi o to, aby poezja jego nasycona była rozumieniem, emocjonalnym i intelektualnym przeżyciem Boga, aby sfera wzruszeń i przemyśleń religijnych, dążąca ku ciągłej precyzji i ku ciągłemu ich sublimowaniu nie porzuciła została na materię poetycką, zorganizowana w świadomy swojej zawartości kształt artystyczny.

Poezja Podsiada nie dotrzymuje tych zobowiązań, nie kusi się o realizację tych zadań. Bóg w wierszach Podsiada jest ciągle antropomorficznie pojmowanym ojcaszkiem, który dobrotliwie rządzi ludźmi i ganięciwkami, światem i stadem zielonych żabek, kumkających ku Jego chwale. Nie ma w wierszach Podsiada tej „teologii poetyckiej”, która w dostępnych granicach poetyckiego uogólnienia zawierałaby prawdy głębsze niż prawdy emocjonalnych doznań odnotowanych na marginesie codziennego paciorka. Ten brak sprawia, że świat nie jest zespołem zjawisk, w którym się uzewnętrznia chrześcijański sens dziejów, ale jest przypadkowo ustalana przez subiektywny pogląd poety sumą luźno z sobą i raczej lnercyjnie tylko powiązanych fenomenów.

Z tą, jeśli tak powiedzieć można, „teologiczną” słabością konstrukcji poetyckiego świata u Podsiada wiąże się drugi zasadniczy brak jego osiągnięć. W wierszach Podsiada nie ma dowodu na to, że potrafi on korzystać z sumy doświadczenia społecznego, z tego zestawu faktów społecznych, który ukazuje naszą epokę. Podsiad wyraża nią zgodę na życie w atmosferze w której największą mądrością społeczną jest poprzestawanie na biernym uczestnictwie w historii. Poezie nigdy nie wolno się zgodzić na klimat otaczającego go marazmu. Poezja wyrasta przede wszystkim z buntu przeciwko łatwej zgodzie na spokój kryształowej kuli, na spokój ubocza.

Przed Podsiadem stoi poważne zadanie przewyciężenia ohydwy tych słabości. Przewyciężenie tych słabości powinno w konsekwencji doprowadzić do zrozumienia nierozłączności procesów twórczych z trudami rzetelnej obiektywizacji naszej wiedzy o świecie i rzeczywistości.

Dążąc ku tej wiedzy trzeba wyjść z mgły Zygmunt Lichnicki

Filip Buchez — chrześcijański socjalista

(Dokończenie ze str. 6)

dem. Był zdecydowanym zwolennikiem demokracji, lecz równocześnie przeciwnikiem demokracji amerykańskiej. Traktował ją jako „wstrętne skupienie arystokratycznej burżuazji, które rozprawia o braterstwie i równości a prowadzi bezwstydnym handlem ciałem ludzkim”.

Interesujące są jego poglądy na ówczesną kwestię polską. Zaproszony na obchód rocznicy powstania listopadowego w Paryżu wygłasza przemówienie, w którym m. in. podkreśla, że walka Polaków z zaborcami jest przede wszystkim walką sił moralnych przeciwko materialnym. Zwycięstwo musi przyspaść siłom moralnym.

Po zamachu stanu Napoleona III Buchez zostaje aresztowany. Wkrótce zwolniony wycofuje się z życia politycznego i społecznego, poświęcając się pracy naukowej. Pisma szczerze jego poglądy (a więc i robotnicza „l'Atelier”) zostają zamknięte przez władze.

Buchez do końca swego życia nie zmienia swoich poglądów (umiera w 1865). Pozostaje demokratą, obrońcą wolności, zwolennikiem ludowych rewolucji, lecz przeciwnikiem dyktatury Napoleona III, „gdzie administracja ma zwyczaj mieszania się do wszystkiego”. Nie zmienia też swego przekonania, że w tworzeniu przyszłego społeczeństwa główną rolę odegra katolicyzm, który stanie się katolicyzmem społecznym.

Alfred GERARD

„PRZEMIANY” ANNY POGONOWSKIEJ

NIE piszę recenzji z „arkusza” Anny Pogonowskiej. Świadomie, rezygnuję z wygodnej konwencji mówienia gładkich ogólników. Świadomie wybieram formę subiektywnej spowiedzi o wrażeniach jakie budzą we mnie „Przemiany”. Zbadajmy społeczną funkcję takich spowiedzi. Wykorzystajmy szczerą jako nowy i niespotykany w omówieniach chwyt krytyczno-literacki. Chwytajmy in flagranti prawdę o naszych wrażeniach. Proponuję kwadrans wyznań. Niech się one obiektywizują lub demaskują w odbiorze publicznym. Wierzę, że warto tej metody spróbować, choćby tytułem odważnego eksperymentu.

Przeczytajmy wiersz Pogonowskiej o kontemplacji. Zaczyna się tak:

„Pod szpadami sklepienia ciemności i tęcze gromione piorunami kolumn złotujących. Drzą jak pióra serafa przyszłego Wola rozkruszającą w biel serca.” Szpady sklepienia są światne. Dzięki temu ten cały strop się porusza jakby utkany z przecinających się ostro błyskawic. A jak podobają się wam owe pioruny kolumn złotujących? Mnie — bardzo! Śmiało to jest i odkrywcze zarazem. Cóż, kiedy na serafa przyszłego Wola absolutnie nie mogę

się zgodzić. Ta wola tu nic nie oznacza. Jest martwym głosem z podręcznika. Wyobraźnię zostawia nietkniętą. Należało nam uzmysłowić zawartą w niej treść. Pokazać, ku czemu zmierza. W przeciwieństwie do tego frazesu, obraz katedry, która „głazem czas uwiera” od razu pojawia się żywy i cały. Dlaczego? Bo w tym miejscu został dokonany pewien poetycki wynalazek. Ciężar materii martwej wywiera tu widoczną presję na coś nieuchwytnego, co w rezultacie okazuje się bardzo realne. Dla Pogonowskiej czas jest substancją plastyczną. W zestawieniu z kamieniem nabiera niespotykanych własności. Staje się niemal widoczny. Posłuchajmy dalej: „I s godzin w kłwie jestem ugnieciona s promieni przebiegających ciała ze skaliastych nocy. Wydołykam się z żądzą. I rodzę owoce, które przuonam jak ciężar ziemi.” Nieraz będę do tych słów powracał, bo wiele w nich odnalazłem. Wiemy już, co poetka uczyniła z czasem. Przyjrzyjmy się kształtowaniu przestrzeni. Warczy o to uwieczona w szkle. Zamknięta w maleńkich wymiarach, ustokrotnia swą prężność i moc. Czytając: zdaje mi się sobie sprawę z gwałtowności istnienia ogromu. Autorka każdemu z nas zawręć niezmierną odległość

w próbówce. Pomysł jest znakomity. Polega on na zagęszczeniu tysięcy kilometrów w drobnie. Probówka nie wytrzymuje ciśnienia i pęka. Wyżalając olbrzymie energie, powoduje katastrofę i koniec doczesnej zabawy...

„Gdy ziemia — samobójczy trup w próżni zawiśnie
Bóg drogę mleczną zwinie
Mgławice zaciśnie”.

No tak, myślę sobie. Ukazała potęgę atomowej eksplozji kosmicznej w doskonale uchwyconym związku z przestrzenią wybuchającą z cząsteczek. Ten makrokosmos rozsądzający wewnątrz mikrokosmosu jest świetny. Sugestywne to, bardzo odkrywcze i inteligentne. Ale po co łączyć łos ziemi z losem całego wszechświata? Trzeba sobie nareszcie uświadomić, że w tych nieskończonych wymiarach, pośród miliardów gwiazd i wielu tysięcy lat świetlnych, rozpad jednego pyłka nie może pociągnąć za sobą żadnych konsekwencji. Nie tkwimy w punkcie centralnym. Śmieszne jest wyobrażać sobie, że ludzkość mogłaby spowodować zniszczenie rzeczywistości, która ją wielokrotnie przerasta. Sąd Ostateczny będzie na pewno bardzo ważny dla nas, lecz dla nikogo poza tym. Z punktu widzenia dzisiejszej kosmologii była by to impreza o charakterze lokalnym odbywająca się gdzieś na głębokiej prowincji, na peryferiach istnienia. Poeci powinni zacieśnić kontakt z astronomami. Inaczej ich widzenie świata zastępnie w obecnym stadium staroświeckim. I po prostu przestanie się liczyć. Przypnieć mi jednak wypada, że w tym scenariuszu apokaliptycznym zawarte zostały fragmenty godne uwagi. A oto jeden z nich:

„I tam gdzie otchłań ostra
i jasną ciężarem
Dusz oddzieli wir plew od ziaren”.

Plewy i ziarna to banał okupiony jedynie akcentem mimowolnego humoru. Pogonowska puściła tu w ruch centryfugę kosmiczną. Dzięki temu proces selekcji dusz dobrych i złych został poniekąd zmechanizowany. W tym ujęciu rzecz cała zakrawa na efektywną groteskę. Tak a nie inaczej kończy się rozmyślanie o rzeczach przekraczających zdolność naszego pojmowania!

Lecz kilka wierszy dalej natrafiam na pewien świeży motyw. Dotąd było tak, że jak się zaczynał koniec świata, to z tej perspektywy życie już przestawało być ważne. Liczone grzechy i cnoty, zaporinając o wszystkim, co decydowało o tak zwanym uroku istnienia. Pogonowska zdołała sześcieliwie przelatać ten szablom. Dlatego z satysfakcją odczytałem ten właśnie maleńki urywek.

„O nie ma ciebie lęku —
Wstańcie umarli!
Żalu zakwitnij różą,
Słowiczym śpiewaj gardłem”.

Nie ma tu żadnej degradacji wartości doczesnego bytu. Jak to dobrze, że się ktoś nareszcie przeciwko temu tradycyjnemu ujęciu zbuntował. Tak. Nawet w obliczu nieba trzeba cenić ziemię i wolno coś z tego co przeminęło żałować. Ileż twórczej samodzielności zawiera się w tym sformułowaniu. Prawda.

Ale recenzja nie może być komplementem. Czas wielki pomówić już o tym, co tej poetce zagraża. Przede wszystkim trzeba wytypić w niej sentymentalizm miłki i czulostkowy przywodzący na myśl tanie oleodruki w złym guście. Zwłaszcza zacytowaną tu niżej wyjątek z wiersza „Rodzina” zabrznieć powinien jak ostrzeżenie na przyszłość.

„A kiedy widzę moją matkę,
Jej oczy — jakież to kwiaty?
Giniemy razem w uśmiechu
Jak w fali może zbył wartkiej.
Moją córeczkę gdy tułę
Jak pisklą, jak wzlot listeczka
Łzy męczą mniej najczylej,
Niech zdrowo rośnie córeczka.”

Oczywiście, że to jest prawdziwe i szczerze, nawet bardzo ludzkie, lecz byle jak wyrażone nadaje się w sam raz do prywatnego sztabucha i recytacji w gronie rodzinnym. Gdyby z każdej tzy wytryskała poezja, byłoby zasypań arcyzdziejami. Wiadomo, że najtrudniej jest celnie wyśłowić to, co się najmocniej czuje, bo wtedy człowiek traci kontrolę nad sobą i chciałby nadać utartym wyrażeniom moc, która one już dawno straciły. To jednak nie może się udać, bo nie ma znaku równania pomiędzy naszym prywatnym kompleksem znaczeniowym a wydajnością zużytych środków wyrazu. Wiem, że podobne wiersze mogą się podobać, bo rzecz przysłówkowa i płaska najszybciej osiąga tanią popularność. Ale to przecież nie jest droga do literatury! Kto posiadał tak urzekającą lakoniczność formy, powinien wyżyć się piosenkarskich i albumowych słodyczy. Proszę spojrzeć, oto w tym miejscu wyczuwam właściwą tonację. Tu tetni brzmienie surowe:

„To złoto i wód, kłacie różowe i śnieżne
Chmurne naloży bżów, w których skręca tuż tuż piorun”.

Ten zwrot nie przypomina tysięcy podobnych. Jest samorodną zdobyczą i osiągnięciem dojrzałym. Jeśli Pogonowska zdoła się wyzwoić spod uporeczywej obsesji sklepienia kolumn i tęcz, jeśli przezwycięży w sobie ów uroczysty staroświecki kompleks od świętego widzenia ludzi i przedmiotów — zła tradycja przestanie jej szkodzić a wówczas poetka odnajdzie siebie i nas, podających z nią razem we współczesność.

Alfred Gerard

NOTKI KULTURALNE

W październiku minęło 140 lat od dnia urodzin wielkiego węgierskiego kompozytora i pianisty F. Liszta.

X

W Sofii (Bułgaria) oddany został do użytku dzieci „Pałac Pionierów” wyposażony w kino, salę koncertową, teatr marionetek, czytelnie, laboratorium, pracownię itp.

X

Ostatnio w Chinach obchodzono bardzo uroczyste 15 rocznicę zgonu znakomitego postępowego pisarza chińskiego Lu Sin, nazywanego popularnie „chińskim Gorkim”.

X

W ciągu ostatnich dwóch lat w Chińskiej Republice Ludowej powstały 744 ośrodki zdrowia oraz 9.464 zakłady położnicze W północno-wschodnich Chinach do 1949 r. istniały 3 żłobki, obecnie jest ich 500.

X

W Los Angeles (USA) zmarł niedawno jeden z najbardziej znanych współczesnych kompozytorów Arnold Schoenberg. Jednym z ostatnich jego utworów był utwór poświęcony tragedii warszawskiego ghetta „A Survivor from Warsaw” na chór, orkiestrę i recytatora.

X

W listopadzie mija 750 lat od chwili założenia stolicy Łotwy — Rygi.

X

Dymitr Szostakowicz pisze obecnie muzykę do nowego radzieckiego filmu „Niezapomniany rok 1919” realizowanego wg prematu W. Wiszniewskiego pod tym samym tytułem.

X

W Moskiewskim teatrze Małym obchodzono był jubileusz 120-letnia. Zagrają tam po raz pierwszy w wielkim spektaklu rosyjskiego A. Gribojedowa „Gore od umia” (Mądremu biada”).

X

W Kijowie (ZSRR) był obchodzony jubileusz pracy literackiej jednego z czołowych pisarzy — dramaturgów ukraińskich Iwana Koczeubowa autor sztuki „Wesele Świerzki” „Mistrz czasu”, „Jarosław Mądry”.

X

Na 6.633.620 mieszkańców Cejlonu około 600.000 jest chrześcijan z tego 30% katolików, reszta protestantów. Pozostali mieszkańcy są wyznawcami Buddy.

X

W pierwszej połowie grudnia obchodzie się w Wiedniu festiwal filmowy partii Demokratii Ludowych.

Festiwal Muzyki Polskiej

FESTIWAL Muzyki Polskiej dobiega końca, a w chwili, gdy ukaże się nasz numer, będzie już po jego finałowych eliminacjach, to też trudno jest w tej chwili dać całkowitą ocenę i podsumowanie akcji festiwalowej. W każdym razie można już teraz powiedzieć, że Festiwal poruszył naszych kompozytorów, dodał im bodźca do wzmożenia twórczości, a szeroko zakrojona współpraca ich z wykonawcami powinna była przynieść im dużą korzyść (zresztą nie tylko im, ale i wykonawcom również), nie tworzyli „sobie a muzom”, wiedzieli, że na utwory ich czekają ludzie. Toteż zgłoszono na Festiwal naprawdę imponującą liczbę utworów, bo około 1000, w tym około 50 wielkich form symfonicznych, 20 kantat, 2 opery, 2 balety, wiele utworów kameralnych, wiele drobnych form symfonicznych oraz ponad 70 pieśni masowych.

Wśród tej tak okazałej liczby znalazło się naprawdę szereg bardzo wartościowych. Są wśród nich dzieła nagrodzone nagrodami państwowymi, a mianowicie A. Panufnika „Symfonia Pokoju”, T. Bairda „Symfonia C-dur” oraz T. Szeligowskiego „Bunt Zaków” (opera), poza tymi utworami po raz pierwszy wykonano na festiwalu Gr. Bacewiczówny II Symfonia oraz Koncert wiolonczelowy; J. Ekiera — kolorowe melodie, F. Dąbrowskiego — Suitę symfoniczną, W. Friemana — Rapsod mazowiecki; Wł. Kotońskiego — Tańce góralskie; W. Lutosławskiego — Małą suitę; Z. Mycińskiego — Obrazy symfoniczne; St. Pruszyńskiego — Uwerturę rewolucyjną; St. Wiechowicza — Kantatę żniwną; St. Wislockiego — Symfonia o tańcu; B. Wojtowicza — Proroka; J. Maklakiewicza — balet „Złota kaczka”; A. Gradsteina „Kantata o Stalinie” do słów Broniewskiego; Wilkomierskiego — „Kantata Wioławska”; J. Sokorskiego — kantatę „Pieśń morską”; W. Lutosławskiego „Tryptyk”; Krenza — „Taniec symfoniczny”; Czysa — „Wariacje na temat polskie”; Jana Krenza „Serenadę wieską”.

Program Festiwalu nie ograniczył się tylko do współczesnej muzyki polskiej, nawiązywał, zresztą bardzo słusznie, do tradycji i naszej dawnej twórczości. Uwydatniło się to szczególnie w pierwszym etapie Festiwalu, a nawet i w finale, który miał być poświęcony przede wszystkim muzyce współczesnej, nie pominięto kompozytorów dawnych, których czołowi przedstawiciele, tacy jak Chopin, Moniuszko i Szymanowski figurują w programach obok kompozytorów współczesnych.

Festiwal przebiegał zasadniczo w

piónach: zawodowym i amatorskim reprezentowanym przez związki zawodowe i Związek Samopomocy Chłopskiej.

Dane dotyczące pionu amatorskiego ciekawie ilustrują zasięg Festiwalu i zainteresowanie naszego społeczeństwa muzyką. I tak z ramienia Zw. Zaw. w Festiwalu wzięło udział około 3.000 zespołów, a do ostatecznych eliminacji stanęło około 70. Nie wszystkie województwa wykazały w jednakowym stopniu zainteresowanie tą imprezą, również nie wszędzie sprawa organizacji a przede wszystkim instruktażu stała na odpowiednim poziomie. Przyczyną ku temu było wiele, jedną z nich był brak odpowiednich sił fachowych, jak również zbyt krótki okres przygotowawczy. Najsilniej ruch muzyczny i taneczny rozwijał się w ostatnim kwartale, w tym też okresie powstało wiele nowych zespołów, jak również naktyniły się województwa początkowo bardzo słabe (kieleckie, lubelskie, szczecińskie). W niektórych miejscowościach przede wszystkim na Śląsku (gdzie wzięło udział w eliminacjach 90 zespołów), w Poznaniu i Łodzi eliminacje festiwalowe były wydarzeniem dużej miary. W ramach występów zespołów Zw. Zaw. przeprowadzono ciekawą próbę pokazu tańca masowego, obok tańców regionalnych ludowych i robotniczych oraz tematycznych.

Obok zespołów Zw. Zaw. bardzo czynny udział w eliminacjach wzięły zespoły Zw. Sam. Chłopskiej. Na 2040 zespołów istniejących do eliminacji stanęło 1743 z czego do eliminacji centralnych doszło 71 (około 2000 osób).

Udział wsi w Festiwalu był sprawą bardzo istotną, poruszył on rodzimą twórczość ludową, a przede wszystkim wydobyl z zapomnienia szereg pięknych pieśni i tańców regionalnych.

Akcja festiwalowa na wsi przyczyniała się również bardzo wydajnie do powstania nowych zespołów (470 zorganizowanych już podczas Festiwalu) jak również do odkrycia wielu uzdolnionych muzycznie kierowników zespołów (23% kierowników to pracujący chłopcy).

X

Gdy wymawiamy cyfry: przeszło 3.000 zespołów, 1743 zespoły itd. dopiero po chwili uświadomiamy sobie, jak wielką kryją one za sobą liczbę ludzi i mimo woli zadajemy sobie pytanie, a ile wśród tych tysięcy amatorów artystów — prawdziwych talentów? Wywołanie ich i danie im możności dalszego rozwoju będzie jedną z zasług Festiwalu i jego organizatorów.

„BŁĘKITNE MIECZE”

Tytuł „Błękitne miecze” pozwala się spodziewać, że tematem filmu jest historia słynnej meissenowskiej porcelany. Po obejrzeniu filmu, trudno jednak odpowiedzieć na pytanie jakie były zamierzenia scenarzystów, ci, którzy oczekują historii powstania pierwszej w Europie porcelany — są zawiedzeni. Ci, którzy pragną zobaczyć film historyczny, są również rozczarowani, wątek historyczny jest bowiem niedopracowany, ogólnikowo powierczony.

Film na pozór jest wycinkiem biografii Böttgera. Niemniej akcja jest jakby impresją osnutą na tle historycznym. Fakty historyczne przeplatane są fikcją, często fikcja jest tylko od czasu do czasu kraszona faktami historycznymi.

Nie można atakować twórców filmu za to, że nie zajęli się historią Böttgera, tak by jednocześnie zbliżyć jego twórczość, że zainteresowali ich tylko sprawa anegdotycznej barwności jego życia, że zrezygnowali z pokazania wyników jego pracy, niemniej można mieć pretensję o to, że sprawę Böttgera, historii pierwszego meissenowskiego modelu, potraktowano jako pretekst do zbudowania sensacyjnej fabuły. Można zarzucić scenarzystom lekceważenie prawdy historycznej na korzyść sensacyjnej fikcji.

Film pokazuje i przesadnie rozbuduje dzieje Böttgera poprzedzające jego prace nad tajemnicami porcelany. Zbudowano ciekawą a le nieprawdziwą historię jego perypetii w Prusach — gdzie zgodne z rzeczywistością są tylko jego zainteresowania alchemiczne, natomiast rozbudowany i dramatycznie zupełnie niepotrzebny wątek narzeczony pozostaje niepotrzebnym dodatkiem scenarzysty.

Cała pierwsza część mimo staranności w odtworzeniu szczegółów obyczajowych ma charakter sensacyjno-historycznej powierczonowej fantazji. Druga część, dzieje Böttgera na dworze Augusta II — wyzyskuje co prawda w większym stopniu fakty biograficzne z życia artysty, niemniej w dalszym ciągu kładzie nacisk raczej na awanturność niedostatecznie wyjaśnionych konfliktów niż na pracę Böttgera.

Niewiadomo, dlaczego wprowadzono wymyśloną historię ucieczki z więzienia, i zupełnie fałszywie zasugerowano, jakoby Böttger od razu odkrył sekret białej porcelany — i to jeszcze za życia Tschirnhausa.

Böttger do 1713 r. produkował swoje filiżanki, wazon, talerze i figurynki nie z białej porcelany, ale z t. zw. „czerwonego kamienia”, szlifowanego, rzeźbionego, w

późniejszym okresie pokrywano czarną glazurą. Dopiero w 1713 r. już po śmierci wielkiego uczonego przyjaciela Leibniza, matematyka Tschirnhausa (który wbrew informacjom Leona Bukowieckiego nie był alchemikiem — nigdy też August nie powierzył mu opieki nad Böttgerem). Böttger przypadkiem odkrywszy właściwość „ziemi Schnorra” wpadł na sekret porcelany Ziemia Schnorra, służyła zamiast drogiego francuskiego pudru, do pudrowania peruk, Böttger przekonał się, że ten sztuczny puder jest kaolinem — białą gliną używaną do wyrobu chińskiej porcelany.

Wydaje się, że prawdziwe życie Böttgera i jego twórczość — tak rażąco nieobecna w filmie — stanowią świetny materiał fabularny. Materiał nie wymagający niemal stylizacji i uzupełnień. Trudno zrozumieć, dlaczego scenarzyści zrezygnowali z wyzyskania faktów, dlaczego zubożyli film odbiegając od nich. Szkoda tym bardziej, że film bardzo dobrze reżyserowany, starannie zrealizowany mógłby być świetnym realistycznym obrazem historycznym, a trzeba będzie długie czekać na następną próbę filmowego sfabularyzowania historii meissenowskiej porcelany.

Leszcza

ZAMKNIĘCIE DYSKUSJI WOKÓŁ BALZAKA

WOLNOŚĆ SĄDU CZYTELNIKA

OD REDAKCJI

Zamykając dyskusję na marginesie twórczości Balzaka, która poczynając od artykułu Jakimiaka pt. „Pięć dni straconych” swoje rozwinięcie i uogólnienie znalazła w artykule Stefana Lichańskiego, drukujemy poniżej ponowną wypowiedź mimowolnego inicjatora „ruchu antybalzakowskiego”. Do drukowania tej wypowiedzi skłania nas respekt dla zasady „audiatur et altera pars”. Przypominamy wszakże, że i pierwszą wypowiedź antybalzakowską p. Jakimiaka drukowaliśmy jako felieton dyskusyjny, mający stanowić próbę zbadań społecznej sprawdzalności zainteresowań wielkim pisarzem francuskim.

Stefan Lichański wykorzystał ten felieton dyskusyjny jako punkt wyjścia dla szerszych rozważań krytyczno-literackich. Odpowiedź Jakimiaka odnosi się do tych części artykułu Lichańskiego, które odnoszą się do Jakimiaka, przeocza natomiast główne tezy i problemy tamtej pracy. Jeśli chodzi o Balzaka, postawy Jakimiaka nie narusza dyskusja. W dalszym ciągu upraszcza on zagadnienie moralności literatury, sprowadzając je do moralnej nieskazitelności tematu. Dołączony do jego artykułu list jednego z wielu czytelników świadczy o tym, że pozwalając na jeszcze jedną wypowiedź zagorzałego antybalzakisty nie narażamy na szwank naszych czytelników, a pewnym nudnym pismom dajemy szansę ożywienia ich szpalt.

równe prawa. Nie ma tu nawet reguł. Każdy krytyk stwarza własne prawidła, a jeśli ma wpływ, to narzuca je wyznawcom, przeważnie niższym od siebie umysłowo i moralnie. Ale ja oddawna wyrosłem z dziecinnego wieku, w którym się pyta starszych, czy wolno wyjść na dwór. Jestem czytelnikiem dorosłym, i poza uczciwością nic mnie nie obowiązuje. Zresztą i dzieciństwo moje było inne, niż p. Lichańskiego. Kto inny ciągnął nas za uszy i kogo innego pytałśmy o pozwolenia. Nie jesteśmy kolegami, pochodzimy z innych szkół. Osobiście nigdy nie przysięgałem na Bova. Miałem lepszych mistrzów. Nie będę też nigdy wiał p. Lichańskiego o to, co mi wolno i jak mi wolno pisać.

Zobaczmy jednak, czy byłem uczelwy, bo temu właśnie nie wierzy mój przeciwnik. Zarzuca mi, że za mało czytałem Balzaka, by go sądzić. A skąd wiadomo, ile czytałem? Może czytałem całego Balzaka? Artykuł napisał tylko przy sposobności przeczytania ostatnich czterech jego tomów. Nawet ich tytułów przecież nie wymieniałem. W okresie, gdy byłem bezkrytycznym czytałem go wiele. Ale teraz, gdy mi wpadły te książki, spojrziałem na nie krytycznie. Co też takiego czytałem. I wtedy z „wielkiego” artysty wylazły wszystkie jego szkarady, jak z uprzejmego i kulturalnego artykułu p. Lichańskiego wylazła moja sklerozę i łepotę. Rozbiór (analiza, jeśli p. Lichański po polsku nie rozumie) wyluskuje prawdę. A prawda u Balzaka brzydko pachnie. Temu p. L. nie przeczy Owszem, na własną rękę dowodzi tego, przytaczając poglądy Sainte Beuve, który twórczość Balzaka porównał do wielkiej kupy gnoju. Ten pogląd, co prawda, wydaje się p. L. wątpliwy, ale tylko na słowo Bova, nie na podstawie własnego sądu. Szkoda, że nie przytoczył poglądu Zweiga, który Balzaka nazwał prostytutką od początku do końca. Gdzie tu nieuczciwość krytyka? I czterech takich książek za wiele.

P. Lichański wciągnął poprzedni wniosek o mojej nieuczciwości ze zbyt skąpych danych. Podobnie ma się rzecz ze wszystkimi innymi. Postawie Balzakowi nie wiele zarzutów, ale konkretne. Żadnego z nich nie odparł. Wytłumaczyłem, dlaczego Balzak jest szkodliwy: ze względu na dobro nieoświeconych, bezkrytycznych czytelników, jakim sam niedawno byłem. Był to mój obowiązek, obowiązek miłości bliźniego.

Moich zarzutów, acz nielicznych, p. Lichański nie zbil Raczęj pominął je. Po co więc pisał, gdy ja przy nich właśnie obstałem? Sądzę autorów po ich uodobodaniach. O czym pisze Balzak. Pisałem, tu już nie będę. Pisarz to burżuazki w każdym calu. P. L. temu nie przeczy wyraźnie, ale utrzymuje, że ma on do tego prawo. Tak, ale moje prawo, by to nazwać po imieniu, jest nie mniejsze. Narażę się w ten sposób na miano tabuisty? Nie jest to miano straszne.

Czy p. Lichański wie, co naprawdę znaczy tabu? O ile wiem, uczeni, badający pierwotne szczepy afrykańskie, nie wytłumaczyli tego dotychczas. Jeżeli p. Lichański rozumie pod tym słowem zasadę filozoficzną czy moralną, to zgoda. U mnie taka zasada jest cnota, której pisarz powinien służyć. Ale p. Lichański nie rozumie, co jest cnota. O ile można wnosić z jego wynurzeń, pojmuję ją tak, jak sam Balzak, to znaczy, jako coś martwego, schematycznego. Pyta (p. L.), jak przetłumaczyć na „język pojęć logicznie sprawdzalnych” moje zdanie, że „świat stoi na cnotce”. Postaram się mu wyjaśnić. Dam konkrety, które są oczywistością namacalną, a więc czymś bezspornym i w ten sposób obejmujemy się bez logistyki. Jeżeli małż jest wspaniałym i kocha dzieci, wtedy wypełnia cnotę, która utrzymuje jego rodzinę, krzepi sąsiadów i znajomych i wpływa dodatnio na cały naród. Jeżeli chłop sumiennie doi krowę i trzęsie gnoń, to pełni cnotę, którą żywi swoją rodzinę i społeczeństwo. Jeżeli żołnierz mężnie się bije i przestrzega dyscyplinę, to służy cnotce, na której stoi armia i bezpieczeństwo narodu. Czy to rozumiałe? Otóż, jeżeli cnota może być martwa, to chyba tylko w głowach zasuszonych klerków, którzy nigdy nie patrzą na życie, albo w zboczeńcach, którzy szukają tylko zadowolenia własnego naskórka. Takie zboczenie zauważyłem u Balzaka, który wyraźnie sztydził z cnoty. Jeśli się omyliłem, jeśli Balzak jest czcicielem cnoty, należało mi to wykazać cytami, dziełami i to dokumentami. By ratować Balzaka i utrzymać powagę mistrza Bova, p. Lichański nie użył tego prostego sposobu. Wołał użyć spekulacji, dla wyszydzenia cnoty. Ta sama szkoła, co u Balzaka i Bova.

Drugim zarzutem, jaki postawiłem, a jaki pozostał nieodparty, jest brak artyzmu. Nie ma u Balzaka ani jednej prawie indywidualności. Nie mówiłem o charakterach, tylko indywidualnościach. Nie wiem, co to jest charakter, ale wiem, co to jest indywidualność osoby, czy rzeczy. Każdy ją pozna, ale rzadko kto przedstawi w sztuce, bo to jest prawdziwa rzeczywistość, życie. Zauważam, że papierowe, konwencjonalne życie, o którym pisze p. Lichański nie mnie nie obchodzi. Niech się nim zajmują papierowi i konwencjonalni ludzie. Dalem przykład pisarza, który dał mnóstwo indywidualności w swych powieściach.

Nie porównywałem Dickensa do Balzaka, bo to byłoby prawie bluźnierstwo. Ciemny, pożądlivy snob obok szlachetnego artysty? Też zestawienie. Ale przykład był dobry. Mogłem powołać się jeszcze na Mickiewicza i Prusa, nie po to, by spychali Balzaka z wyżyn, na których nigdy nie był, ale dla oświecenia czytelnika. Kto umie dać indywidualność, ten dopiero jest wielkim artystą, bo to ożywia cnotę u Dickensa. Najzabawniejsi ludzie są za-

razem najciotliwsi. Tak samo u Prusa. Tak więc mój artykuł, acz krótszy pięciokrotnie od eseju p. Lichańskiego, nie był impresją. Wrażenie się tylko notuje, gdy ja uzasadniłem swoje tak, że ich przeciwnik nie obalił. Był to prawidłowy sąd, bo był w nim uprawniony sędzia (czytelnik) świadkowie, (same książki) i orzeczenia biegłych (uznane wartości moralne i estetyczne). Wszystko, czego się domaga p. L.

Do mojego tabu przynajmniej się dumaj. Ale, jakie jest tabu p. Lichańskiego? Drwi z cnoty, pojęcia szukania kamienia filozoficznego. Czuj by odrzucił i cnotę i szukanie mądrości, to jest zrozumienia świata? Niby, nie broni Balzaka, ale go i nie pozwala atakować. Wszystkiego się odrzeka, zarówno kompleksów, jak i tabu, ale bez motywów. Choć piyną mu słowa, słowa, słowa, słowa.

P. Lichański napisał olbrzymi, świetny i świetlany artykuł skrzyczący się wszystkimi odcieniami tęczy. Gdyby go porównać do bańki mydlanej, zaraz nasunęłoby się zagadnienie, w jaki sposób mogła ona urosnąć do takich wymiarów i nie pęknąć? Nikomu jednak nie narzuciłoby się pytanie, co w niej jest, gdyż każdy wie z pewnością oczywistości, że musi być pusta. Po co duże i piękne artykuły, jeśli w nich nie ma treści?

Z. Jakimiak

Balzak, nieśmiertelność i p. Jakimiak

Impulsem dla poniższych rozważań stały się dwa artykuły zamieszczone na łamach tygodnika „Dziś i Jutro”. Pierwszy z nich był felieton p. Jakimiaka „Pięć dni straconych”, zaś drugim obszerny i z niesłychanym temperamentem napisany artykuł p. Stefana Lichańskiego a zamieszczony w nrze 43 tego czasopisma.

O co idzie p. Jakimiakowi? P. Jakimiak pisze, że „ani pod względem moralnym ani artystycznym, ani intelektualnym nie jest Balzak pisarzem do polecenia”, nie odczuwał podczas lektury Balzaka „coraz bardziej wzrastającą odrazę i niesmak”. P. Jakimiak przyznaje, że opinie tę powziął na podstawie lektury czterech powieści Balzaka i bodaj w tym punkcie został najmocniej zaatakowany przez swego adwersarza. Jaki? — woła p. Lichański — na 97 powieści z cyklu „Komedii ludzkiej” przeczytał pan (tj. Jakimiak) cztery i teraz acan wydać się ośmielać „sąd” o całym Balzaku? To już jest zachwalstwo zgola niesłychane!

Czy p. Lichański ma rację? Nie sądzę. Nie wiem, dlaczego nie można by opiniować o pisarzu na podstawie kilku jego dzieł, mimo że napisał on ich kilkadziesiąt. Któż przeczytał kilka tysięcy (1) dramatów Lope de Vegi, albo przedarł się przez gąszcz kilkuset powieści Kraszewskiego? A mimo to nie pozbawia nas to prawa wyrokowania o pierwszym na podstawie tylko choćby „Owczego źródła” zaś na podstawie „Starej baśni” o drugim. Na podstawie tylko tych dwu utworów wolno nam powiedzieć, że pierwszy wszedł do panteonu „nieśmiertelnych”, a drugi — nie.

Nie w tym więc chyba tkwi błąd w rozważaniach o Jakimiaku i nie w tym również, że chciał on w krótkim felietonie „załatwić całego Balzaka”. Błąd tkwi gdzie indziej, prawdopodobnie w tym, że p. Jakimiak nie pofatygował się bliżej owego sądu uzasadnić. A tego już mu czynić nie wolno, o ile nie chce swego „sądu” zatrzymać wyłącznie pro domo sua.

I jeśli p. Jakimiak twierdzi, że: „(Balzak) jako artysta nic nie stworzył godnego uwagi. Nie ma u niego ani pięknych opisów przyrody, ani co najważniejsze, indywidualności. Nie ma u Balzaka ani jednego z y w e g o c z i o w i e k a. Są tylko typy, czyli uogólnienia, martwe schematy...” — to w tym miejscu ciśnie się na usta każdego, kto przeczytał choćby tylko cztery powieści Balzaka (jak p. Jakimiak), gorący i spontaniczny protest. Więc Cesar Biotteau, Grandet, Dawid Sechar, sędzia Popinot, Pons i kilka tysięcy pozostałych to tylko „uogólnienia”? To tylko „martwe schematy” a nie „żywi ludzie”? W takim razie czym są ludzie Gogola z „Martwych dusz”? Chyba tylko także „uogólnieniami”. A

przecież właśnie obu tych pisarzy uważano dotąd — zgodnie dosyć — za nie zrównych znawców ludzi. Nic nie szkodzi, że wiele swych powieści zaczerpnął ze świata fantazji („Ostatnie wcielenie Vautrina” — „Blaski i niedze życia kurtyzany”). W tych fantastycznych historiach Jakuba Collin, Lucjana de Rubempre, Estery Gobseck — są właśnie żywi ludzie, tkwi tam cały ówczesny francuski burżuazyjny świat. Burżuazyjni — niech się o to nikt nie gniewa — bo Balzak był wszakże piewą francuskiej burżuazji mieszczańskiej. Ale z tego nie wolno mu czynić zarzutu. Balzac chciał być pisarzem burżuazyjnym, on pisał świadomie i programowo o niej — ale czynił to w sposób prawdziwy, nie zaklamany i artystycznie doskonały.

Widzę, że zaczynam bronić Balzaka, a nie o to mi idzie.

P. Jakimiak wyrzuca Balzaka z panteonu „nieśmiertelnych”, zaś p. Lichański chce go tam (tj. Balzaka) koniecznością zatrzymać. Sądzę, że obaj szanowni adwersarze niepotrzebnie kruszą o to kopie, walczą z wiatrakami i wywalają przyswłowie otwarte drzwi. Dlaczego? Po pierwsze: Balzac obronił się sam. Po drugie: nieśmiertelność pisarza jest rzeczą względną.

„Nieśmiertelność”, „Szczęście” — to pojęcia relatywne zwłaszcza, że los i historia plają niekiedy różne paskudne figle wielu „nieśmiertelnych”. Czasami dostają się do owego panteonu najmniejsi do tego powołani. Dość wspomnieć tylko, że taki np. p. Słowta stał się nieśmiertelnym przez to, że jego utwór z początków XV w., nieporadny, niezgrabny, niekiedy nawet ordynarny („a mnogi idzie za stoł, siedzie za nim jako wół”) — ma zapewnioną nieśmiertelność gdyż jest pomnikiem polskiej poezji świeckiej, podczas gdy np. taki „Kirgiz” Zielińskiego jest zapomniany „na amen”, i wiedzą o nim tylko poloniści.

A podobnych przykładów można by mnożyć bez liku. Leonidas był takim samym żołnierzem, jak miliony poległych w I wojnie walczących — bądź co bądź — o to samo, bo za Ojczyznę. Tymczasem Leonidas stał się symbolem, a tamci docekali się najwyższej grobów „nieznanego żołnierza”.

Dlaczego jedni zawdzięczają swą nieśmiertelność temu, co innych niewczy w sensie tak fizycznym, jak i idealnym?

Dlatego też wydać się może, że walka krytyków o nieśmiertelność Balzaka i jemu podobnych chybia celu. Nie widać dosyć przekonujących racji, aby o to się kłócić. Zostawcie to czarowi. On jest najlepszym arbitrem, bezstronnym. A swoją drogą kocham Balzaka i wolę go nawet bardziej od Dickensa...

Stefan Tarnawski

LIEU KI (1311 — 1375)

Poeta myśli o swojej pięknej

Nadciąga stłota,
Od cynamonów wleje wiatr,
Regoniamy na grobach młota,
Gęsto supie się kwiat.
Latają liście, chwieją się drzewa,
Wiatr wzbija mgłę i pył.
Przez drzwi do domu zawiewa,
Pelza pod włosy, dociera do zyt.
Smutno mi siedzieć samotnie,
Muszę o mojej dziewczynie.
Całe niebo oddziela mnie od niej.
Z gór woda wartko płynie.
Wysoko wznosi się góra:
W chmurach latają ptaki,
Dlaczego gubią pióra?
Może by wzięły list jaki?
A'le już giną w dali
Potok płynie na wschód,
Nie można zatrzymać fal,
Nie można zatrzymać wód.
Pachną magnolie, jeszcze kwitną,
Lecz okwiał z dnia na dzień opada.
Daję spokój fletni z jadeitu
I gitarę z jaspisu odkładam.
Smutne są w samotności myśli moje,
Serce mi w piersi kołata.
Rozważam księżyc na niebie:
Jego ballady i pieśni,
Nimi się dziś upole,
Nimi ten wieczór prześlę.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmayer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubiński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1,80 złotych. Kwartalnie 5,40 złotych.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3 Zam 3113 2-B-45237.